# PRO CHRISTO

## WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18.30 m do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca

## Pro Christo.

## Wobec projektu ustawy małżeńskiej.

Od dłuższego już czasu krążyły niepokojące wieści na temat opracowywanego od lat kilku w komisji kodyfikacyjnej jednolitego dla całej Polski projektu prawa małżeńskiego. Zaniepokojenie wzbudzał sam skład podkomisji, opracowującej ustawę, złożona bowiem była z prawników i uczonych, znanych ze swoich poglądów materjalistyczno - liberalnych, fakt zaś, że zaproszeni do współpracy uczeni katoliccy po zapoznaniu się z panującym i ustalonym w podkomisji poglądem — woleli się wycofać i nie brać w jej pracach żadnego udziału — przedostał się z czasem do prasy i wywarł zrozumiałe wrażenie. I chociaż czynniki kierujące pracami Komisji Kodyfikacyjnej uczyniły wszystko, co było w ich mocy, aby opracowany i ustalony już projekt pozostał w tajnych archiwach Komisji, a potem został starannie złożony w cieniach gabinetów ministerjalnych — to jednak nastał wreszcie moment, w którym już dłużej prawdy nie można było ukrywać — nieliczne odpisy projektu znalazły się w posiadaniu osób prywatnych, dotarły do rąk działaczy i prasy katolickiej, zostały częściowo ogłoszone, tak, że trzeba było przystąpić do urzędowego wydania projektu.

Projekt kodeksu wyszedł na światło dzienne...

Wprawdzie według zapewnień ajencji urzędowej nie należy się liczyć z natychmiastowym przekazaniem go pod obrady parlamentu, czynnik decydujący nie powziął jeszcze decyzji, czy i kiedy projekt Komisji Kodyfikacyjnej stanie się projektem rządowym. Można snuć na ten temat rozmaite przypuszczenia optymistyczne, lub pesymistyczne. Jedno jest pewne. Projekt jest już gotów, leży w Ministerstwie Sprawiedliwości i oczekuje na moment odpowiedni. Innemi słowy mówiąc, nieprzyjaciel już otoczył jedną z najważniejszych twierdz katolicyzmu w Polsce, przygotował się do prawidłowego oblężenia, wystawił działa, na razie jeszcze tylko strzelać nie kazano...

W innym miejscu zajmujemy się samym projektem (patrz artykuł ks. prof. A. Borowskiego). Tutaj ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że treść jego przeszła wszelkie najbardziej pesymistyczne przewidywania. Z trzech najważniejszych zagadnień ustawodawstwa małżeńskiego, z których pierwsze dotyczy formy zawarcia małżeństwa, drugie — juryzdykcji, a trzecie — nierozerwalności, względnie trwałości związku małżeńskiego — wszystkie są rozstrzygnięte w sposób przekreślający sakramentalny charakter związku. Jeśli chodzi o formę — dozwolono łaskawie zawierać katolikom małżeństwo także i w kościele, zdobywszy się jednak na tak wielki akt tolerancji w stosunku do Kościoła, który zajmuje podobno według naszej biednej konstytucji — naczelne stanowisko pośród równouprawnionych wyznań w państwie, kodyfikatorzy ograniczyli tę wspaniałą koncesję licznymi formalnościami, które mają być dokonane przed świeckim urzędnikiem stanu cywilnego. W drugiej dziedzinie rozstrzygnięcie jest jeszcze wyraźniej antykatolickie, cała juryzdykcja oddana w ręce sądów świeckich, trzecie zaś zagadnienie ustawodastwa małżeńskiego potraktowane zostało w sposób wprost skandaliczny, obrażający poglądy i uczucia, nietylko katolików, lecz każdego człowieka rasy białej bez względu na jego przekonania religijne. Zaiste, projekt wprowadzenia małżeństw terminowych jest zupełnie nowy i oryginalny na naszej szerokości i długości gieograficznej i bodaj poraz pierwszy zagadnienie to w tak egzotycznej, a równocześnie ponurej formie zostało postawione przed społeczeństwem polskim przez kilku teoretyków-liberałów, tkwiących po uszy w zbankrutowanych doktrynach z połowy przeszłego wieku. Fakt, że kilku poważnych skądinąd prawni-

ków zdecydowało się przedstawić tego rodzaju koncepcję 30 miljonowemu narodowi, zamieszkałemu w środkowej Europie, posiadającemu 1000-letnią kulturę i cywilizację — jest nawet w dzisiejszych czasach kryzysu gospodarczego i moralnego pożałowania godnym widowiskiem!

Wobec takiego stanu rzeczy musiała zareagować wprost i bezpośrednio hierarchja Kościoła katolickiego i trzeba przyznać, że reakcja ta była mocna i zdecydowana. W ogłoszonym w listopadzie „Orędziu Episkopatu Polski“—podpisani pod nim wszyscy Księża Kardynałowie, Arcybiskupi i Biskupi polscy w ten sposób kwalifikują wymieniony projekt:

*„Komisja Kodyfikacyjna, Komisja w kraju, w którym większość obywateli jest członkami Kościoła Katolickiego, na Encyklikę Papieską, na odezwę Episkopatu Polski i na żądania katolików odpowiedziała projektem prawa małżeńskiego, który zbliża się do przepisów o małżeństwie w Rosji bolszewickiej. W projekcie tym została podeptana zasada nierozerwalności małżeństwa, wprowadzone zostały związki czasowe, pozwolono na zmianę mężów i żon. I w ten sposób człowiek wyniósł się ponad Boga, bo oto Jezus Chrystus powiada: „Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza" (Mat. XIX. 6), a Komisja Kodyfikacyjna staje na stanowisku, że sędzia państwowy jest wyższy ponad Boga, że nie potrzebuje Go słuchać, i mocen jest rozwiązać, co Bóg złączył.*

*Twardemi słowy mówimy, bo niebezpieczeństwo wielkie i nader bliskie. Należy zedrzeć wszystkie osłony, aby smutną prawdę w całej grozie przedstawić.*

*Zamierzone prawo jest sprzeczne z prawem Bożem. Zamierzone prawo jest posiewem bolszewizmu u nas w rodzinie. Zamierzone prawo grozi Ojczyźnie śmiertelną zarazą duchową i ostateczną klęską. Obcy zaleją ziemię naszel—Co nie daj Boże!"*

Ks. kardynał Prymas Hlond wydał zarządzenie, w którym napiętnował „niesłychany projekt ustawy o małżeństwie, jako zamach kół wolnomyślnych na ducha narodu i jako zuchwałą próbę odcięcia Polski od kultury chrześcijańskiej, a wydania rodziny polskiej na bezeceństwa bolszewickie", stwierdził, że „komisja kodyfikacyjna ośmieliła się... zlekceważyć nasze uczucia religijne... Do tej chwili trafiały się wprawdzie próby osłabiania ducha Chrystusowego w narodzie, ale były to naogół ukry-

te, nieraz starannie maskowane podkopy. Tylko tu i owdzie trafiały się śmielsze, otwarte występy zwolenników nowoczesnego pogaństwa... Tym razem atoli spotykamy się poraz pierwszy z występem instancji urzędowej, która proponuje uregulowanie małżeństwa w sposób równający się jego sponiewieraniu i upadkowi. Rozległ się ten fakt złowrogim echem po kraju niby odgłos sąsiednich sowietów i jakby zapowiedź walki z wiarą narodu i z kościołem". W końcu ks. Prymas wzywa społeczeństwo, aby podjęło środki zmierzające do odparcia: „tych haniebnych zakusów".

W końcu zabrał głos także i Namiestnik Chrystusowy, bo oto w liście wystosowanym przez Kardynała Sekretarza Stanu Pacelli do ks. kardynała Kakowskiego czytamy w formie subtelnej i delikatnej, lecz zupełnie wyraźnej podkreślenie konieczności obrony godności i świętości małżeństwa i uznanie dla ks.ks. Biskupów polskich za Ich dotychczasowe wysiłki w tej dziedzinie.

Kościół więc robi swoje, chodzi o to, aby i społeczeństwo polskie spełniło swój obowiązek.

W narodzie naszym jest głębokie przywiązanie do zasad i obyczajów katolickich. Naogół trzeba powiedzieć, że w większych ośrodkach miejskich społeczeństwo katolickie zareagowało w sposób zdrowy i normalny na prowokacyjne projekty prawodawcze. W ostatnich tygodniach odbyło się kilkaset zebrań, na których kilkaset tysięcy ludzi protestowało przeciwko projektowi. Lecz wszystko to jeszcze jest za mało.

Chodzi o to, aby akcja protestacyjna nie stała się przysłowionym słomianym ogniem, który po kilku tygodniach zgaśnie, lecz przeobraziła się w żywiołowy ruch, którego rezultatem będzie zorganizowanie wszystkich katolików pod jednym sztandarem obrony małżeństwa katolickiego, aby ruch ten objął także ludność wiejską i proletarjat, zwłaszcza, że wśród tego ostatniego ogromne spustoszenie czyni komunizm, pasożytujący na nędzy i bezrobociu, zatruwając ducha religijnego i narodowego.

Nie wystarczy więc urządzać w większych ośrodkach zebrania dla inteligencji i sfer bardziej uświadomionych, trzeba sięgnąć wgłąb, akcję potraktować nie jako sporadyczne wydarzenie, jako protest jednorazowy — lecz jako odskocznię do sy-

stematycznej i planowej działalności, jako ogniwo całego łańcucha walk i zmagań, które nas czekają w przyszłości.

Gdy walczymy o utrzymanie „Casti Connubii" przyjść nam może z pomocą: „Quadragesimo Anno". Obydwie te encykliki wymienione są w cytowanym przez nas liście Stolicy Apostolskiej, obydwie one zawierają zasady, na podstawie których mogą być zaspokojone najaktualniejsze i najbardziej żywotne potrzeby szerokich mas naszego narodu. Ks. ks. Biskupi mają je rozszerzać i propagować we wszystkich diecezjach, lecz z pomocą musi im przyjść inteligencja katolicka. Oby obudziła się ona do planowego i zbiorowego czynu! Oby zuchwała prowokacja naszych przekonań religijnych, której jesteśmy świadkami, wstrząsnęła sumieniami tych, którzy dotychczas są biernemi widzami rozgrywającej się walki o rząd dusz w narodzie, o Oblicze Polski Jutrzejszej. *St. K-ski.*

---

# „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Święta Kościoła katolickiego mają w sobie zawsze coś wielkiego i imponującego. Myśl, że oto w jednym dniu, wierni całego świata łączą się we wspólnej modlitwie i przed tron Pana nad Pany ślą korne lecz pełne ufności modły, napełnia serca otuchą. Jakże radosną rzeczą dla człowieka współczesnego, wtłoczonego w szarą rzeczywistość powszedniego dnia, jest poczuć się członkiem Owczarni Chrystusowej i zapomnieć o tem, że się jest na szachownicy życia tylko marnym pionkiem.

Jeśli każde święto nasuwa pewne refleksje to już ze specjalną siłą muszą one nasunąć się każdemu katolikowi w dniu Bożego Narodzenia.

Boże Narodzenie — sądząc małym rozumkiem ludzkim, Bóg-Człowiek winien przyjść na ten świat z mocą i majestatem wsród poruszenia mocy niebieskich i ziemskich, wśród dźwięków trąb archanielskich, huku piorunów, trzęsień ziemi, nawałnic morskich i t. p. przerażających zjawisk, któreby w proch rzuciły mrowie ludzkie.

Tymczasem w Betleem, w nędznem miasteczku zjawia się nie mocarz siejący trwogę, lecz Boża Dziecina. Ówcześni

wielmoże nie przybiegli złożyć mu hołdu. Któż się zjawił wówczas u żłobka? Przybyli mędrcy i przybyli pastuszkowie. Stawiła się na zew gwiazdy betleemskiej wiedza i stawiła się gorąca, prosta wiara wieśniaków. To nie był przypadek, to był symbol. Tak jak 1931 lat temu tak i dziś niedouczone półmędrki nie garną się do Chrystusowej krynicy. Dawniej przybierali na siebie płaszcz filozofji sofistów, czy uczoności faryzejskiej—dziś stroją się w błyskotliwe komunały t. zw. wolnomyślicieli. Tak jak wówczas tak i dziś prawdziwa nauka hołd oddaje Chrystusowi.

Gdy rozważamy i uprzytomniamy sobie wielką tajemnicę przyjścia na świat Chrystusa Pana, przychodzą nam na myśl mnogie zastępy męczenników którzy zapatrzeni w mistyczne światło promieniujące na cały świat z owego zapadłego kąta żydowskiej ziemi, ochotnie złożyli życie swe na ołtarzu Boskiej Prawdy. Każda kropla krwi bohatersko wylana za wiarę, stała się nasieniem, „semen martyrum" z którego wyrosły setki, tysiące i miljony wiernych. Dziś już nie trzej magowie nie kilku wieśniaków, ale trzysta miljonów katolików składa hołd dziękczynno-błagalny Odkupicielowi.

Kiedy porównywujemy ubogą stajenkę z Kościołem Chrystusowym, który ogarnął cały świat i w każdym zakątku ziemi ma swych wiernych—to w sercach budzi się podziw i miłość dla Stwórcy, a zarazem głęboka ufność w prawdziwość, wielkość nauki, która tak przeorała ludzką umysłowość, że ją odrodziła i wyrwała ze strupieszałego marazmu, ogarniającego społeczność antyczną. Współczesna cywilizacja, pomimo licznych wypaczeń i naleciałości korzeniami swymi tkwi w Chrystjanizmie. Idea ofiarności, miłości bliźniego, która pomimo wszystko, wbrew głosicielom egoistycznego materjalizmu nie wygasła w sercach współczesnej ludzkości ma swe źródła w nauce Chrystusowej i jej zawdzięczamy że żyją w nas jakieś lepsze, wyższe porywy. Gdy uprzytomnimy sobie ten zdrój łask, jaki zesłał nam Bóg w ową Noc Zbawienia na usta cisną się słowa kornej podzięki: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

*Zygmunt Prószyński.*

# SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

## U źródła poglądów liberalnych na małżeństwo.

### I.

Duchowe oblicze liberalizmu nie jest jasne ani wewnętrznie jednolite.

Powstały na gruzach wielkiej rewolucji francuskiej, która miała być radykalną przeciwwagą dawnego despotyzmu królewskiego, liberalizm nie zerwał ani z radykalizmem ani z absolutyzmem; owszem, podjął próbę ratowania wszechwładnego państwa przez wprowadzenie zasad rewolucyjnych, głównie zaś olśniewającej idei wolności.

Tem chyba możnaby wytłumaczyć znamienne przeciwieństwa, tkwiące w liberaliźmie.

Zdawałoby się, że przedewszystkiem ten system, który ustawicznie głosi hasło tolerancji i wolności, sam będzie umiarkowany. W rzeczywistości jednak, zrodzony z absolutyzmu, liberalizm z szczególnem upodobaniem uprawia przymus despotyczny w każdej dziedzinie życia: politycznej, społecznej i gospodarczej; nawet przejawy wewnętrznego życia: myśl, wiara, sumienie nie są wolne od tego przymusu.

Despotyzm w stosunku do Kościoła zaznacza się w przejściu od dawnej zasady współrzędności tych dwu postaci społeczności doskonałej do zasady przewagi państwa nad Kościołem, a raczej do wszechwładzy państwowej z zupełnem bądź podporządkowaniem, bądź ignorowaniem Kościoła i jego instytucyj.

Tylko w przeprowadzaniu podobnej tyranji liberalizm najchętniej posiłkuje się środkami i drogami tajemnemi, a w chwili stosownej ujawni swe oblicze w formie t. zw. większości, głosującej i uchwalającej z podeptaniem poczucia sprawiedliwości

Wierny też pozostał radykalizmowi. Wielkiej rewolucji francuskiej nie powiodło się całkowicie oderwać ducha ludzkiego od starych, tradycyjnych poglądów, choć w części zabarwionych na modłę chrześcijańską. I właśnie liberalizm podjął zadanie, by rozpowszechnić idee radykalne, by za pośrednictwem

racjonalizmu, naturalizmu wyzwolić umysł ludzki od Bożych prawd objawionych, a wolę rozpętać z wszelkich obowiązków moralnych prawa Chrystusowego.

To też synonimem liberalizmu, może najbliższym, jest indywidualizm wybujały.

Ideałem liberalizmu nie jest człowiek, żyjący w społeczności, związany z innymi wzajemnemi prawami i powinnościami,— człowiek, podległy autorytetowi władzy zwierzchniczej, lecz człowiek — rzekłbyś — jako numer odrębny, jako wolny od wszelkich zobowiązań ludzkich, zwłaszcza Bożych.

Zrozumiała przeto staje się walka, prowadzona z szczególnym uporem z Kościołem katolickim, jedynym strażnikiem konsekwentnym niezmiernej Prawdy objawionej, niewzruszonego Bożego prawa naturalnego, czy pozytywnego.

Na to jedno godzą się wszyscy bez różnicy przedstawiciele liberalizmu, że należy z całą mocą przeciwstawić się nauce Kościoła, iż czynnik nadprzyrodzony ma uprawnienie na tej ziemi. Jakby instynktownie odczuwali w nadprzyrodzoności wroga tak silnego, że on zdoła przeżyć liberalizm nowoczesny wraz z jego absolutyzmem i radykalizmem oraz pomocniczemi systemami racjonalizmu i naturalizmu.

* * *

Jakie były stopnie w rozwoju liberalnego poglądu na małżeństwo!

Pierwszy Luter przeciwstawił się nadprzyrodzonemu charakterowi tej instytucji, którą nazwał „sprawą zewnętrzną i cielesną". Protestant K. Hagen wymownie ujmuje pogląd Lutra i współczesnych mu zwolenników: „Zapatrywano się na małżeństwo zgoła inaczej, niż dotąd. Widziano w niem podłoże do zaspakajania żądz naturalnych; uważano je za wyłącznie zewnętrzny, cielesny związek, który nie ma zgoła żadnej styczności z religją i Kościołem.

Stąd nawet dopuszczano małżeństwa między chrześcijanami a poganami: Żydami i Turkami. Ponieważ w zaspokojeniu żądz naturalnych dopatrywano się właściwego celu instytucji małżeńskiej, stąd ono stawało się również najprzedniejszym motywem przy udzielaniu rozwodu". *)

---

*) Der Geist der Reformation n. seine Gegensätze, 2 Bd. Erlangen 1844, 233.

Wprawdzie protestantyzm doby późniejszej powstrzymał rozpędy Lutra, liberalizm przecież nie omieszkał wykorzystać luki, uczynionej w dotychczasowym poglądzie na istotę małżeństwa oraz kompetencję władzy kościelnej.

Legiści, hołdując w polityce zasadom cezaryzmu rzymskiego, podejmą od początku XVII stulecia ofenzywę przeciw Kościołowi w kierunku rozłączenia w małżeństwie kontraktu od sakramentu.

Wyzyskają w tym względzie subjektywne wywody apostaty M. A. de Dominis, zawarte w jego dziele „De republica ecclesiastica, jakoby nawet w idei Chrystusowej małżeństwo było kontraktem naturalnym i cywilnym, a nie sakramentem. Regaliści gallikańscy, od dłuższego już czasu trzymając się zasady, iż władza, udzielona Kościołowi przez Jezusa Chrystusa, jest wyłącznie duchowa i nie rozciąga się ani wprost ani ubocznie na sprawy doczesne, odrazu wyprowadzą wniosek: umowa małżeńska należy do kompetencji władzy państwowej.

Jan Lannoy pogłębi prąd, zmierzający do rozłączenia w małżeństwie kontraktu od sakramentu, skoro przyzna zwierzchniczej władzy królewskiej możność ustanawiania przeszkód, rozrywających małżeństwo.

Krytyka filozofów XVIII w., co przygotowali grunt pod wielką rewolucję francuską, była bardziej jeszcze swobodna i niebezpieczna: ona godziła w podstawowe przymioty małżeństwa chrześcijańskiego.

Oni jeszcze śmielej, niż regaliści, oddzielą w małżeństwie kontrakt od sakramentu: „Małżeństwo — pisze Voltaire — jest kontraktem, z którego rzymscy katolicy uczynili sakrament. Sakrament jednak i kontrakt — to dwie rzeczy całkowicie różne: do jednego są dołączone skutki cywilne, do drugiego — łaski Kościoła... Małżeństwo zatem może istnieć ze wszystkiemi skutkami naturalnemi i cywilnemi, niezależnie od obrzędu religijnego".

Tenże Voltaire, powołując się na przykład rzekomo wszystkich ludów, „z wyjątkiem rzymsko-katolickiego", już wypowie się za reformą prawa o nierozerwalności małżeństwa.

Tę reformę rewolucja przeprowadzi w praktyce. Teza gallikańska o rozdziale w małżeństwie umowy od sakramentu będzie punktem wyjścia, zostanie jednak rozwinięta w celu pogłębienia indywidualizmu, „praw człowieka". To też dawna teza

przybierze formę: „małżeństwo jest z swej istoty kontraktem cywilnym"; co więcej, otrzyma postać krańcową: „małżeństwo jest jedynie umową cywilną". Jest to już formuła ślubu cywilnego.

Rewolucja więc zostawiła samą umowę, gdyż dla rozluźnienia stosunku jednostki do społeczeństwa, wyzwolenia jej z więzów społecznych, potrzebny był jedynie stosunek prawa cywilnego, z swej istoty odwołalny i rozwiązalny.

Nic tedy dziwnego, że, na skutek coraz szerszej ingerencji państwowej zeświecczenie małżeństwa stopniowo rozwijało się w przeróżnych krajach, głównie we Francji.

Już za Ludwika XVI edykt 1787 r. o małżeństwie protestantów był praktyczną przesłanką instytucji ślubu cywilnego. Konstytucja znowu z d. d. 3—14 września 1791 r. ulegalizowała tezę: „Prawo uznaje małżeństwo tylko za umowę cywilną"; ustawodawstwo zorganizowało urząd i śluby cywilne oraz ustaliło „możność rozwodu, wynikającą z wolności indywidualnej". Kodeks Napoleona ostatecznie zalegalizował tezę filozofów oraz rewolucji i wprowadził panowanie indywidualizmu.

W dobie obecnej w większości państw Europy jest uznany ślub cywilny, bądź jako przymusowy, bądź jako dowolny obok religijnego, przyczem znamienny jest zwrot we Włoszech w przejściu od formy obowiązkowej do fakultatywnej.

* * *

W Polsce przedrozbiorowej ustawodawstwo cywilne nie zajmowało się małżeństwem, zostawiając ten przedmiot sakramentalny Kościołowi. Istniały wprawdzie pewne statuty, głównie z XV, XVI stuleci, lecz dotyczyły tylko skutków cywilnych małżeństwa, nie zaś jego istoty i formy.

Kościół też wyłącznie rozstrzygał w sprawach unieważnienia, jako i rozłączenia małżonków od wspólnego pożycia.

Po rozbiorach, w utworzonem Księstwie Warszawskiem kodeks Napoleona został wprowadzony 1 maja 1808 r., w którym jak wiadomo, małżeństwo jest uznane za umowę cywilną. Odtąd też datuje się u nas początek t. zw. ślubów cywilnych.

Od roku przecież 1818 podjęto rewizję przepisów kodeksu Napoleona, zakończoną ogłoszeniem przez Mikołaja I w r. 1836 „Prawa o małżeństwie", dotąd obowiązującego w b. zaborze rosyjskim, zarówno na kresach, jak i w województwach centralnych. Katolików co do formy zawierania małżeństwa, prze-

szkód, unieważnienia i separacji obowiązują przepisy prawa kanonicznego, tak że t. zw. śluby cywilne i rozwody nie są dopuszczalne, a w sprawach małżeńskich jedynie sądy kościelne są kompetentne.

Na ziemiach b. zaboru pruskiego dopiero w okresie t. zw. walki kulturalnej wprowadzono obowiązkowe śluby cywilne. Pruskie prawo państwowe nie zabrania religijnych obrzędów w świątyni, które jednak mogą odbyć się dopiero po akcie cywilnym. Dotąd przeto w województwach: poznańskiem, pomorskiem i na Górnym Śląsku istnieje instytucja t. zw. ślubów cywilnych.

W b. zaborze Austrjackim prawo cywilne z reguły uznaje religijną formę małżeństwa; dopuszcza ono wprawdzie śluby cywilne, lecz tylko w przypadkach wyjątkowych, tak że są to t. zw. śluby cywilne z konieczności. Sądownictwo małżeńskie jest wprawdzie zastrzeżone państwu, dla katolików jednak niema rozwodów.

Wreszcie w 27 wsiach Spiżu i Orawy, przyłączonych do Polski, do r. 1922, na podstawie ustawodawstwa węgierskiego, małżeństwo było uważane za wyłączną instytucję prawa cywilnego; od 25 lipca jednak 1922 r. rozporządzenie Rady ministrów rozciągnęło na te wioski ustawodawstwo austrjackie o kościelnej formie ślubu, tak że strony mają dowolny wybór małżeństwa religijnego, lub cywilnego. Istnieją więc tam śluby cywilne dowolne; rozwody zaś są dopuszczalne lub wzbronione, zależnie od rodzaju ślubu: religijnego, czy cywilnego.

* * *

Wobec takiej różnorodności systemów prawnych, istniejących w odrodzonej Ojczyźnie, potrzeba jednolitości w ustawodawstwie małżeńskiem niejako siłą rzeczy się wyłania. I pod względem zrozumienia tej konieczności niema różnic w poglądach wszystkich bez wyjątku sfer społecznych.

Różnica zdań powstaje dopiero wtedy, gdy chodzi o rozwiązanie zagadnienia, w jaki sposób trzebaby ustalić prawo małżeńskie w Polsce.

Komisja Kodyfikacyjna R. P., powołana do życia ustawą z d. 3 czerwca 1919 r., zajęła się perwszy raz prawem małżeńskiem przez ówczesną sekcję prawa cywilnego na posiedzeniu 29 marca 1920 r. Przewodniczący sekcji, któremu powierzono

opracowanie projektu, nie wywiązał się z tego zadania, czy wprost nie mógł dokonać go według zasad, przedyskutowanych na temże posiedzeniu. Jak właśnie prof. Jaworski sam nadmienia w liście do jednego z dostojników kościelnych 29 stycznia 1926 r.:

„Komisja Kodyfikacyjna wybrała mnie rzeczywiście referentem, ale referat ten przed dwoma laty złożyłem, a obecnie nie należę nawet do podkomisji.. Referat złożyłem z tego powodu, że zorjentowałem się w zapatrywaniach członków Komisji, a z rozmowy z ks. kard. Dalborem poznałem stanowisko episkopatu. Przekonałem się, że bez walki się nie obejdzie, walkę zaś religijną uważam w naszym skołatanym kraju za nieszczęście, w którem nie chciałem żadnej odgrywać roli”.[1])

W maju 1924 r. Komisja Kodyfikacyjna wybiera nowego referenta, prof. Karola Lutostańskiego, i specjalną podkomisję z prof. Ignacym Koszembahr-Łyskowskim, jako przewodniczącym oraz członkami: pp. Stanisławem Bukowieckim, Henrykiem Konicem i Zygmuntem Nagórskim.

Do podkomisji, mimo że miała za zadanie unormować prawo małżeńskie dla przeważającej ludności katolickiej w Polsce, obejmującej $^3/_4$ ogółu mieszkańców, nie zaproszono żadnego kapłana-kanonisty, ani wogóle specjalisty w prawie kościelnem. Zaledwie do drugiego czytania projektu prawa małżeńskiego, już w całości opracowanego przez referenta, zaproszono, prócz innych, prof. Władysława Abrahama, jednego z najwybitniejszych znawców prawa kościelnego, który zresztą uznał za wskazane drukiem ogłosić całkiem odmienny pogląd w pracy p. t. Zagadnienie Kodyfikacji prawa małżeńskiego.

Podkomisja po trzech czytaniach ostatecznie przyjęła projekt prof. Karola Lutostańskiego 9 marca 1929 r., a pełna Komisja[2]) — 28 maja tegoż roku. 4 grudnia 1929 r. projekt przesłano Ministerstwu Sprawiedliwości.

Podkomisja, zgodnie z metodą liberalną, zachowywała nadzwyczaj dyskretne milczenie o treści projektu, choć przecież

---

[1]) Zob. Kur. Warsz. z d. 21 list. 1931 r.

[2]) NB. Niektórzy członkowie, jak p. Domański, zastrzegają się przed samą procedurą niezwykłą; zob. Kur. War. z d. 15 list. 1931 r. № 313.

referent sformułował go już w r. 1924. Prof. Jaworski dobitnie zaznacza w przytoczonym liście z d. 29 stycznia 1926 r.:

„Projekt jest dotychczas tajny i nawet ja, choć jestem członkiem Komisji Kodyfikacyjnej, nie znam go".

Prawdopodobnie, pod wpływem mnożących się objawów zaniepokojenia, Komisja Kodyfikacyjna ogłosiła z końcem 1925 r. komunikat o podstawowych zasadach projektu prawa małżeńskiego w tem brzmieniu: „Projekt prawa małżeńskiego, opracowanego przez prof. K. Lutostańskiego i przyjętego przez podkomisję przygotowawczą w sekcji prawa cywilnego Komisji Kodyfikacyjnej, oparty jest na następujących zasadach:

1) jednolitości nowego prawa małżeńskiego dla wszystkich ziem Rzeczypospolitej;

2) przystosowania prawa do zasad Konstytucji w przedmiocie równości i wolności obywateli, jurysdykcji sądów powszechnych oraz samorządu kościelnego;

3) uznania małżeństwa za podstawę organizacji społecznej i państwowej, wobec czego prawo współdziała w podniesieniu moralnej powagi małżeństwa, w wysunięciu na czoło interesu dzieci, oraz w zapewnieniu poszanowania indywidualnych równych praw obu małżonków, a zwłaszcza ich równych obowiązków wobec rodziny, którą przez swój związek założyli. Postulaty higjeny rasy w miarę możności znajdują uwzględnienie;

4) uznania trwałości pożycia małżeńskiego za warunek naczelny rozwoju prawidłowego rodziny. Małżeństwo ustaje więc normalnie ze śmiercią jednego z małżonków, poza tem tylko w wypadkach wyjątkowych, przez prawo określonych".

Wobec nader ogólnikowego charakteru, komunikat powyższy już mógł budzić ze stanowiska ideologji katolickiej poważne obawy.

Jeśli pierwszy i drugi jego punkt są bardzo niewyraźne, a w trzecim i czwartym mieszczą się takie ogólne zasady, na które podpisze się każdy rząd, uznający śluby cywilne wraz z rozwodami, to tenże czwarty punkt dość jasno zapowiada zamach na nierozerwalność małżeństwa chrześcijańskiego.

Wobec treści komunikatu tylko zdziwienie mogło wywołać sprawozdanie, które prezes Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Ksawery Fierich, złożył na posiedzeniu Komisji prawniczych sejmu i senatu· „Prace podkomisji, aczkolwiek są na ukończeniu, są

jednak jeszcze w toku. W podkomisji zasiadają przedstawiciele różnych poglądów na prawny charakter małżeństwa, zarówno ci, co widzą w małżeństwie umowę cywilną, jak i ci, co stoją na stanowisku sakramentu. Wobec tego istnieje gwarancja, że prace są prowadzone z należytem wszechstronnem pogłębieniem zagadnienia".

Za prezesem i generalny sekretarz Komisji, prof. Emil Rappaport w podobnym tonie przemówił dwukrotnie: raz 11 grudnia 1928 r. na wspólnem posiedzeniu komisji prawniczych sejmu i senatu, ponownie zaś 21 grudnia 1928 r. wobec przedstawicieli prasy i scharakteryzował projekt podkomisji jako kompromisowy: „Projekt nie zajmuje żadnego z krańcowych stanowisk: nie jest oparty ani wyłącznie na pierwiastkach prawa kanonicznego ani na ściśle świeckich, lecz stara się połączyć wszystkie dojrzałe w tym względzie wymogi bieżącego życia społecznego i państwowego".

Takie były zapowiedzi, a *jakie oblicze w rzecy samej ma projekt podkomisji,* już złożony w Ministerstwie sprawiedliwości?

(c. d. n.)

*Ks. Dr. Antoni Borowski*
prof. Wydziału Teologicznego U. W.

---

# Na marginesie „Quadragesimo Anno".

## II.

W pierwszej części omawialiśmy stosunek Encykliki do obecnego ustroju gospodarczego. Obecnie przechodzimy do prawa własności i kierunków, które to prawo zwalczają, jak socjalizm, komunizm, kolektywizm...

Nawiązując do nauki Leona XIII o prawie własności, Q. A. konkretyzuje i wyjaśnia szereg zagadnień związanych z tą nauką. Przedewszystkiem podkreśla *„podwójny charaktnr własności, t. zn. indywidualny i społeczny, zależnie od tego, czy służy jednostkom, czy dobru ogólnemu"*, ostrzegając przed dwoma krańcowościami, w które wpaść można, przez podkreślanie bowiem zbytnie jednej lub drugiej cechy prawa własności możemy się zbliżyć do „indywidualizmu" lub „kolektywizmu". Władza świecka może, kierując się prawdziwą potrzebą dobra ogólnego w granicach prawa przyrodzonego i Bożego wydawać zarządzenia, co posia-

dającym w używaniu dóbr dozwolono, a czego nie dozwolono, wynika stąd, że może ograniczyć w pewnej mierze charakter indywidualny własności jej charakterem społecznym, dążenie do swobodnego rozrządzania, dążeniem do zrealizowania dobra ogółu, gdyż, dobra materjalne „Stwórca dla całej rodziny ludzkiej przeznaczył", z drugiej jednak strony własność prywatna nie może być usunięta, gdyż jest prawem nadanym przez naturę, czyli przez Samego Stwórcę ludziom „Władza państwa.... nie może niszczyć prawa własności prywatnej... może tylko jego używanie ograniczać i do dobra ogółu dostosowywać".

Mamy tu więc potępienie zasadniczej idei Marxa i Engelsa oraz innych pokrewnych im teoryj, czy to wchodzących w ramy szkoły komunistycznej (własność wspólna w dziedzinie wytwarzania i spożycia), czy kolektywistycznej (upaństwowienie środków produkcji).

W dalszym ciągu znajdujemy w wielu punktach druzgocącą krytykę teoryj i założeń socjalistycznych. Wychodząc z założenia Leona XIII, że nie może istnieć, ani kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału, Q. A. ustala wzajemny stosunek tych dwóch czynników w procesie produkcji. Z jednej strony wypowiada się przeciwko poglądom szkoły liberalnej, według której cały owoc należy do kapitału, z drugiej zaś —obala założenia socjalistyczne, jakoby cały rezultat produkcji, cały dochód należał się robotnikom „po potrąceniu jedynie kosztów potrzebnych na podtrzymanie i odnowienie kapitału". Za jednym zamachem załatwia się tutaj encyklika z teorją „nadwartości", głoszoną przez twórców socjalizmu naukowego. Najem pracy (salarjat) nie zawiera w zasadzie nic zdrożnego, ani sprzecznego ze sprawiedliwością. Jeżeli więc jeden daje swój kapitał, a drugi pracę, żadna strona nie powinna być pozbawiona owoców, będących rezultatem koniecznego współdziałania pracy z kapitałem. *„Przyrost majątkowy przez produkcję gospodarczo-społeczną tak powinien być podzielony między jednostki i warstwy społeczne, aby się ostał ów przez Leona XIII ceniony dobrobyt ogółu... nie wolno jednej warstwy wykluczać od udziału w zyskach drugiej"...*

Oto najważniejsze zagadnienia społeczno - ekonomiczne, w których encyklika, wyciągając wnioski wypływające z zasad katolickich, przeciwstawiła się pośrednio założeniom socjalizmu i poszczególnych jego kierunków. Jest jednak oprócz tego w Q. A.

miejsce dość obszerne, poświęcone bezpośrednio tym prądom radykalnym, które są tam nazwane po imieniu i odpowiednio skwalifikowane.

Encyklika rozróżnia kierunek ostrzejszy, który nazywa komunizmem, oraz kierunek umiarkowany, który zachował nazwę socjalizmu. O komunizmie (pod którym, jak sądzimy, należy rozumieć w pierwszym rzędzie bolszewizm rosyjski) mówi Q. A. z oburzeniem, nazywając go *„bezbożnym i niegodziwym"* przyczem specjalną uwagę zwraca na takie jego cechy, jak „najostrzejsza walka klas", „zupełne zniesienie prywatnej własności" oraz, że kierunek ten jest *„wrogiem otwartym Kościoła świętego i Samego Boga"*. Potępienie komunizmu jest tak jasne i niezbicie wypływające z zasad Kościoła, że Ojciec św. nie uważa za potrzebne specjalnie przed nim katolików przestrzegać, natomiast zwraca uwagę na obojętność tych, którzy *przez swą gnuśną bezczynność, pozwalają by na cały świat szerzyła się propaganda gwałtownego i krwawego przewrotu"* i karygodne niedbalstwo tych, *„którzy nie usuwają, albo nie zmieniają w państwie tych objawów, które umysły doprowadzają do rozpaczy i tym samem przewrotowi i ruinie społecznej torują drogę"*.

Drugi kierunek—to socjalizm umiarkowany. Są to kierunki niekomunistyczne, które nie weszły na drogę konsekwentnego realizowania swoich zasad, lecz raczej usuwają się nieco od walki klas i zniesienia prywatnej własności. Omawiając ten umiarkowany socjalizm, zbliżający się niekiedy w swoich postulatach praktycznych do prawd uświęconych tradycją chrześcijańską, Ojciec św. stawia wyraźnie pytanie, czy nie możnaby z nim pójść na kompromis, innemi słowami, czy nie możnaby takiego socjalizmu pogodzić z katolicyzmem, osłabiając przytem nieco twardość i ostrość naszych zasad.

I na pytanie to odpowiada kategorycznie — *nie*: *„socjalizm, rozważany, czy to jako system naukowy, czy to jako zjawisko historyczne, czy też ruch, nawet, jeżeliby w wyżej wymienionych sprawach (walki klasowej i własności prywatnej—przyp. autora) poddał prawdzie i sprawiedliwości, pozostanie w niezgodzie z dogmatami Kościoła katolickiego, dopóki prawdziwym jest socjalizmem, ponieważ poglądy jego na społeczeństwo odbiegają całkwicie od prawdy chrześcijańskiej"*. Socjalizm bowiem widzi w społeczeństwie tylko cele utylitarne, a zupełnie lekceważy i nie uwzględnia wiecznego przeznaczenia człowieka. Dlatego też ka-

tolik i socjalista—to dwa sprzeczne pojęcia. Papież przestrzega przed wpływem socjalizmu na obyczaje i kulturę i wzywa katolików, którzy przez brak uświadomienia, lub słabość charakteru znaleźli się w związkach socjalistycznych do powrotu.

Potępienie walki klas i uspołecznienia dóbr prywatnych mieliśmy już w Rerum Novarum. Quadragesimo Anno posuwa jeszcze zagadnienie o krok naprzód. Oto ogólny pogląd doktryny socjalistycznej na społeczeństwo, jego cele i zadania zarażony jadem materjalizmu niezgodny jest z zasadami religji objawionej. Gdyby socjalizm wyzbył się i tego poglądu—cóżby z niego pozostało, przestałby być socjalizmem i przeszedłby na teren chrześcijańskich poglądów społecznych.

Daj Boże, aby tak się stało. Na razie jednak, póki istnieją w rozmaitych krajach i działają silne obozy socjalistyczne, wywierające mimo swego umiarkowania—zgubny wpływ na oświatę, wychowanie młodzieży i cywilizację danego kraju, a z reguły dążące do osłabienia wpływów Kościoła i poderwania podstaw, na których wspiera się rodzina chrześcijańska—ustosunkowanie się katolików do socjalizmu może być tylko obce i bojowe.

Quadragesimo Anno nie zajmuje się specjalnie kolektywizmem, jako jedną ze szkół ekonomicznych socjalizmu. Przypuszczać należy, iż mówiąc ogólnie o socjaliźmie nie ma na myśli tylko pewnych jego kierunków, lecz traktuje zagadnienie w całokształcie i dlatego może nie wyodrębnia specjalnie kolektywizmu. Natomiast dwukrotnie o nim wspomina, ostrzegając przed nim, jako przed tendencją, zmierzającą do całkowitego osłabienia charakteru indywidualnego prawa własności. Nie ulega wątpliwości, że upaństwowienie środków produkcji, jako istotne naruszenie prawa własności byłoby sprzeczne z zasadami katolickimi Zagadnienie jednak nie jest tak proste, jak się wydaje. *„Istnieją bowiem—mówi Encyklika—pewne kategorje dóbr, ktore słusznie chcianoby zachować dla państwa, ponieważ dają taką potęgę ekonomiczną, że bez narażenia na szwank dobra publicznego w rękach osób prywatnych pozostawić ich nie można"*.

Nie zaprzecza więc Kościół państwu prawa do monopolu własności w pewnych dziedzinach, do wywłaszczenia własności prywatnej na rzecz państwa, oczywiście za słusznem odszkodowaniem. Ze względów zupełnie zrozumiałych nie wylicza Ency-

klika konkretnych wypadków, kiedy to prawo może zostać zrealizowane, pozostawiając skonkretyzowanie tej zasady ekonomistom i politykom katolickim. *St. K-ski.*

---

# Maszyna i człowiek.

W szary, słotny dzień jesienny, wąską uliczką na peryferjach miasta szło dwoje ludzi. Głuchy stuk czterech grubych butów, obijających się o popękane, gołą ziemią łatane płyty chodnika zrzadka zagłuszał warkot zabłąkanej taksówki, która skacząc wściekle na kocich łbach opryskiwała czarnym błotem niskie, obdrapane domki warszawskiego zatybrza. Z góry — z ciemnej chmur opony sypał się deszcz drobniutki wytrwale, nieustannie, przenikał ubrania i płaszcze nieprzemakalne, wciskał się za podniesione kołnierze. Co chwila zrywał się silny, wyjący wśród kominów wicher, siekł prosto w twarz mokremi igiełkami wody i podnosił z ziemi żółtawe liście jakichś umierających tu między kamieniami drzew.

— No i co... Zredukowali cię, bracie, w sam raz na zimę, psiakrew. Ale jak to się stało, nie mówiła mi tego wczoraj Janka, bo była tak spłakana, żem słowa od niej wydobyć nie mógł. — Przecież u Sandlera dobrze się sprawowałeś ostatnio, nie opuszczałeś, grandy żadnej nie zrobiłeś... Co?

— Jak to się stało? Bardzo prosto. Razem ze mną wymówili trzydziestu sześciu. Maszynę nową postawili.

— Maszynę?

— A tak, maszynę. Widzisz, przedtem rozlewaliśmy pastę do pudełek własnemi rękoma, a teraz robią to automatyczne lejki... Wszystko samo leci po żelaznem łożysku... Jak prędko, jak zgrabnie, psia mać, aż przyjemność patrzeć. Tylko, jak człowiek pomyśli, że ta sprytna machina zabrała nam kilkudziesięciu chleb, to aż zębami na nią zgrzyta.

— To wszystkim wymówili?

— Nie, zostawili pięciu, bo tylu do obsługi potrzeba. Ale ja w tej liczbie nie zostałem.

— I skąd u licha Sandler wytrzasnął tego smoka?

— A to ten Kocent, inżynier, drań skończony, on mu ją naraił. Przyłaził do starego co tydzień, nudził go, namawiał,

pokazywał papiery, obliczał. Już dawno czułem, że z tego nic dobrego nie będzie. Stary często go z kwitkiem odprawiał, nawet i zbeształ. A ten się kręcił, kręcił, aż wykręcił, choroba. Sandler dał się namówić, maszynę zmontowali, próba się—udała. I kontrakt podpisali... A tego Kocenta to już znam oddawna, jeszcze jak na Krochmalnej mieszkał i do uniwersytetu chodził. Żebym to ja wtedy wiedział, cosię z tego rudego łba wykluje, tobym mu zawczasu czerep sztamajzą rozłupał.

— No i co zrobicie teraz z Janką?

— Nie tylko z Janką, ale i ze sobą. Przecież nie mogę dłużej starym na karku siedzieć, sami teraz ledwie zipią... Na jesieni właśnie miał być nasz ślub. Jankę już wyprawiali, wszystko było ułożone, zresztą dłużej zwlekać nie było sensu... A tu masz... Założyli maszynę, aby jeden na niej zbił grubą forsę i stu z głodu zdechło... I co teraz robić? Pod kościół pójść, czy magazyny rozpakowywać? Djabelskie te maszyny!...

— — — — — — — — — — — — — — —

* * *

W małym zacisznym pokoiku na czwartym piętrze dwudziestopięcio świecowa lampa zaledwie szczupłym kręgiem światła oblewa stolik, przykryty papierami, nad któremi siedzi schylona młoda dziewczyna. Spartańskie umeblowanie pokoju, prócz łóżka, krzesła i kilku obrazków zdobi szeroki stół, zastawiony retortami, narzędziami metalowemi i dziwnemi, drobnemi maszynkami. Ciszę wieczornej godziny przerywa jednostajny skrzyp pióra i odległy huk ostatnich, pędzących po mieście tramwajów.

Wtem dudnią czyjeś kroki po schodach, zgrzyta klucz w zamku i do pokoju wchodzi, a raczej wpada otulony paltem mężczyzna. Szczupłą, zarośniętą twarz rozświecają oczy gorejące wesołym blaskiem.

— Dobry wieczór Zosieńko! — Jeszcze ślęczysz nad temi papierzyskami, co?

— Dobry wieczór... Ach, nie ściskaj mię tak szalenie... Co ci się stało, czegoś taki wesoły? No, mów, bo widzę, że ci się nagle na przekór powiodło, co? Mówże raz!

— Ach Zosiu, jestem tak uradowany, że mię zatyka! Wyobraź sobie, po długich i ciężkich cierpieniach zatwierdzili

mój model nowych dezynfektorów. Będą zainstalowane odrazu w trzech szpitalach. Przyznano mi nagrodę, a co ważniejsza, sprzedałem wynalazek Majerskiemu, który zakłada fabrykę. W piątek już spółka wypłaca mi pięć tysięcy á conto. Co?!

— Boże wielki, co za szczęście! Jak się cieszę!

— Widzisz, siostrzyczko, opłaciło się ośmioletnie charowanie o głodzie i chłodzie, we dnie i w nocy. Skończyła się nasza nędza.

— I mamusię będzie za co wysłać do Zakopanego i Stefuś skończy szkołę i ty wreszcie... i ty...

— I ty się ożenisz. — Ha, ha... Kochana ty moja, zawsze myślisz najprzód o innych, o sobie zapominasz. A moja Zosieńka, zamiast przepisywać sądowe akta po 40 groszy sztuka pójdzie do akademji... Wszystko będzie dobrze... I nie tylko nam, ale i innym. Bo nowoutworzona fabryka da zatrudnienia blisko stu robotnikom.

— Tak... ach, tak...

— — — — — — — — — — — — — — —

* * *

W ostatnich kilku latach latach, bezrobocia, nadprodukcji i kryzysu finansowego, tych wszystkich bolączek, które wprowadzają trudny do opanowania zamęt w życie ówczesnych społeczeństw, coraz częściej oczy ludzi myślących zwracają się na kwestję maszyn, szukając w niej źródeł trapiącej nas klęski. I coraz szerzej rozpowszechnia się obecnie przekonanie, nie tylko wśród ludzi prostych, ale i w sferach wykształconych, że maszyny są przyczyną bezrobocia, walk klasowych, upadku kultury duchowej narodów. Pojawiają się na ten temat artykuły w prasie, a z za oceanu dochodzą nas słuchy, że Ameryka dąży do złagodzenia bezrobocia przez zredukowanie zbyt zracjonalizowanej produkcji maszynowej. Inni znowu przeciwstawiają się temu poglądowi, opierając swoje wywody na podstawowych wymogach życia i fachowej wiedzy ekonomicznej. Tak, jak przy każdem trudnem zagadnieniu panuje rozbieżność poglądów, zarysowują się całkiem przeciwne i wrogie sobie sposoby ujmowania jednej sprawy, co w rezultacie wytwarza zamęt w opinji.

Marja Czeska-Mączyńska naprzykład, w pięknie literacko napisanym artykule, drukowanym niedawno w katowickiej Po-

lonji zapytuje się kategorycznie: maszyna, czy człowiek? Co ma zapanować nad naszą kulturą, czy człowiek rozumny, w pełni swego rozwoju duchowego prowadzący pług cywilizacji do świetlanych celów przyszłości, czy bezduszny moloch-maszyna, pochłaniający setki ofiar, odbierający ludziom chleb i zaszczytną pracę, moloch, na którego usługach umiera biedny, zautomatyzowany człowieczek...

Zaraz potem Iza Moszczeńska drukuje w Kurjerze Warszawskim pod tym samym tytułem artykuł wprowadzający pewne poprawki do pogladów Pani Mączyńskiej, a w zasadzie broniący maszyn argumentami bardzo ważkiemi, zaczerpniętemi z realnego życia i postulatów materjalnej struktury państw. Roman Dmowski, przepowiadając smutny upadek państw uprzemysłowionych rzuca wiele mówiący frazes: „Im maszyna mądrzejsza, tym człowiek głupszy"...

I nie tylko u nas, ale i zagranicą sprawa ta jest wysoce aktualną. Prasa, słowne i pisane enuncjacje znanych, poważnych publicystów nią się zajmują.

Pojawiają się projekty stworzenia przy Lidze Narodów specjalnej komisji, badającej fachowo, przy uwzględnieniu życiowych potrzeb i wymagań zdrowej kultury użyteczność lub nawet szkodliwość nowych wynalazków i pozwalającej czy też zabraniającej ich eksploatowania. Pomijając nierealność owych projektów, przesadzanych i na grunt polski widzimy do jak wielkiej wagi wzrasta dręcząca nas sprawa maszyn.

Kwestja ta jest bardziej trudna i skomplikowana niżby to się na pierwszy rzut oka wydawało. Dla jej rozwiązania potrzebna jest zbiorowa praca nietylko wielkich ekonomistów ale i filozofów, historycznych kierowników naw państwowych, ludzi, mających coś do powiedzenia w sprawach religji i sztuki, gdyż dotyka ona całokształtu życia. Nie można jej stawiać na ostrzu noża i jednym cięciem rozplątywać, twierdząc apodyktycznie, że tak i tak być musi. Całe pokolenia już się nad nią głowiły i całe pokolenia jeszcze głowić się będą.

Dlatego też w niniejszym krótkim feljetonie nie będę mógł jej tak wszechstronnie, jak na to zasługuje rozpatrzeć. Nie przedstawię całkowitego i wyraźnego rozstrzygnięcia, któreby naturalnie nasyciło słusznie podrażnioną ciekawość czytelnika. Ograniczę się tylko do pewnego oświetlenia sprawy,

postawienia jej na właściwym poziomie i zarysuję jedynie sposób jej rozwiązania, oparty na życiowej filozofji i zdrowym rozsądku. Człowiek, z natury złożony ze sprzecznych pierwiastków, ma skłoność do krańcowego ujmowania rzeczy. Zbacza w rozumowaniu na prawo lub na lewo, trudno mu utrzymać się pośredniego między krańcowościami gościńca prawdy. Jak zwykle, tak i tutaj, w sprawie potępienia lub aprobaty maszyn, prawda leży w pośrodku. Nie gram więc w kości, rzucając pytanie: Maszyna, czy człowiek, aby wkońcu chwycić się jednej z dwóch ostateczności, ale już samym tytułem: „Maszyna i człowiek" uznaję możliwość pogodzenia tych dwóch rzeczy; szukając tylko norm prawidłowych między nimi stosunków.

Postawmy więc sobie zasadnicze pytanie. Czy maszyna jest powodem klęsk społecznych, trapiących nas dzisiaj, jak bezrobocie, walka klas, upadek kultury duchowej, czy jest złem, które należy usunąć, a jeśli tak, to czy można je usunąć, lub czy jest odwrotnie?

Wrogowie maszyn widzą w nich źródło bezrobocia, rozumując bardzo prosto. Maszyna zastępuje człowieka w pracy. Wytwarza szybciej, więcej, wymaga mniejszej obsługi. To, co zrobiłoby rękoma dwudziestu robotników, zrobi jeden maszyną. Stąd dziewiętnastu zostaje bez pracy. Stąd walka klas posiadającej i nie posiadającej. Nadprodukcja i nędza. Dalej, możność otrzymywania dużych zysków przez właścicieli maszyn wytwarza wśród nich psychozę materjalizmu, a racjonalizacja pracy, czyli ekonomiczne rozdzielenie jej na bezduszne ułamki, które robotnicy wykonywują, jak automaty, nie jak myślący ludzie, obniża ich poziom duchowy, czyli też prowadzi do materjalizmu.

Wogóle rozwój kultury materjalnej, którego wyrazem są wszystkie nowoczesne wynalazki i maszyny, pomnażające wygody życiowe, psuje człowieka, odbiera mu tężyznę i moc duchową. Tak rozumują przeciwnicy maszyn, a oczy ich zwracają się do słonecznego średniowiecza z całym swoim spokojnym ustrojem cechowym, z cichemi grodami, nie zduszonemi czarnym dymem kominów fabrycznych. Średniowiecza, które nie znało międzynarodowycn strajków robotniczzch i komunizmu.

Trzeba jednak na rzeczy spojrzeć bardziej subtelnie, opierając się jednocześnie na twardej rzeczywistości nowego życia.

Prawdą jest, ze wiek XIX, wiek pary i elektryczności, nagłego, niebywałego dotąd w dziejach rozwoju techniki, otworzył jednocześnie erę trudności socjalnych, ciężkich walk klasowych, chronicznego bezrobocia i nędzy pracowników fizycznych. Lecz czy przyczyną tych klęsk były wynalazki? Czy raczej powszechne obniżenie poziomu życia religijnego. zanik zasad etycznych, z którym szedł w parze wyzysk i nieuczciwość warstw, stwarzających nowe warunki pracy? Już dwadzieścia lat temu Karol Gide, słynny ekonomista francuski, alarmował Europę o grożącem jej niebezpieczeństwie ze strony idących wielkich przemian w przemyśle. Sceptycznie on się zapatrywał na fakt wprowadzenia maszyn, uważając, że wywował on tylko złudzenie ludzkości, wierzącej w poprawę bytu na tej drodze. I nietylko z punktu widzenia moralnego, lecz i ekonomicznego, mając na uwadze dobro robotników produkcję maszynową zaliczał do niekorzystnych. Naprzeciw jego jednak niezbyt zresztą sprecyzowanych poglądów staje legjon innych popartych argumentami równych mu sław. Nie mogę tu się rozwodzić nad różnemi zapatrywaniami specjalistów, ani też zagłębiać się w skomplikowaną strukturę ekonomiczną świata, nie chcąc, aby odczyt mój był jednym rozdziałem ekanomji społecznej. Muszę tylko pobieżnie zaznaczyć, że fakty sprzeciwiają się temu dość naiwnemu mniemaniu, jakoby maszyny in recto były przyczyną bezrobocia. Tak naprzykład w angielskich przędzalniach w r. 1835 zatrudnionych było 120.000 robotników. Po wprowadzeniu maszyn do tej dziedziny przemysłu liczba ich znacznie wzrosła, tak, że w r. 1914 dochodziła do 740.000. Łatwość bowiem i taniość produkcji wzmogła konsumpcję materjałów, a co za tem idzie wzrosło zapotrzebowanie na pracowników. Nie można zapominać o tem, że maszyny też trzeba produkować i gdy nawet w zmechanizowanej fabryce zmniejszy się ilość rąk roboczych, to równa, lub większa im liczba znajduje pracę w wytworni tych właśnie maszyn i ich części, ciągle się zużywających. Tak samo różne nowoczesne wynalazki odbierając ludziom pracę w jednej dziedzinie, dają im w innej.

A więc różnice, pocztyljoni i stangreci zamienili się w szoferów, konduktorów, maszynistów, przytem kolej żelazna nierównie więcej zatrudnia pracowników, niż dawne konne poczty. Stróże poznańscy, którzy niedawno lamentowali z powodu utraty chwalebnej swej pracy dali swem ustąpieniem zarobek licznej rzeszy mechaników produkujących automatyczne zamiataczki i szoferów je obsługujących.

Pewno, nie jest to rzeczą łatwą i przyjemną, często nawet i możliwą tak przerzucić się na inne pola pracy, ale życie jest twarde i trzeba się na nie zgodzić.

Pozatem jeszcze wiele wynazków otwiera poprostu nieistniejące przedtem warsztaty pracy. Weźmy maszynę drukarską, która stworzyła olbrzymią gałęź przemysłu, zatrudniającego setki tysięcy robotników. A jak wielkie znaczenie kulturalne ma właśnie ten wynalazek! Czy bez książki taniej, drukowanej moglibyśmy sobie wyobrazić obecne życie z jego zapotrzebowaniem oświatowem, z jego rozwojem umysłowym? I tu dotykamy najważniejszej kwestji w naszych rozważaniach, kwestji konieczności postępu technicznego, istnienia obecnych i powstawania nowych wynalazków. Musimy bowiem z całą stanowczością podkreślić fakt niezaprzeczony, że ludzkość, w nowych warunkach życia wymaga bezwzględnie do samego istnienia tak w dziedzinie materji, jak i ducha przeważnej liczby ulepszeń mechanicznych. Nie mówi się o rzeczach zbędnych, luksusowych lub szkodliwych, gdyż te samo życie zmiecie, nie dając im ogólnego zapotrzebowania.

Przedewszystkiem ciągły przyrost ludności, rozrost organizacyj państwowych, wzmożone ilościowo i jakościowo zapotrzebowanie przy tym samym obszarze źródeł życiodajnych, wymaga koniecznie ciągłego ulepszania narzędzi eksploatujących. Muszą więc chemicy wynajdować nowe środki wzmagające płodność ziemi, aby ta mogła wyżywić przeludnione kraje. Muszą istnieć koleje, elektrowozy i samochody, aby z dostateczną szybkością i łatwością przerzucać z krańca świata na drugi te płody i surowce, których brak tam, gdzie są niezbędne do życia. Co więcej, inżynierowie i fizycy muszą je ciągle ulepszać, aby były tańsze i odpowiadały kieszeni obecnych obywateli ziemi.

Coby się stało, gdyby przy teraźniejszem ścisłem współżyciu politycznem i ekonomicznem państw zabrakło nowoczesnych środków lokomocji? Przecież, żeby podróżować własną kolasą, lub piechotą, trzebaby było być miljonerem i rozporządzać nieograniczonym czasem A jak wieleby to spowodowało zubożenia kulturalnego życia! Dalej przy obecnym, koniecznym również rozroście miast, musi istnieć zdrowe i tanie oświetlenie elektryczne, gdyż na kaganki oliwne niktby pieniędzy nie miał, ani przy nich mógł intensywnie pracować. Muszą istnieć tramwaje, samochody, aby ludzi na czas do pracy przywozić. Muszą też istnieć maszyny, wytwarzające tanio i w dostatecznej ilości artykuły pierwszej potrzeby, jak ubrania, buty, różne narzędzia dla miljonowych rzesz. Cały szereg błogosławionych urządzeń z dziedziny higjeny społecznej, medycyny pomyśleć się nie da bez obecnego rozwoju techniki. A jak wielkie, nieocenione wprost znaczenie dla dobra ludzkości, nietylko materjalnego, lecz i duchowego mają takie wynalazki, jak Roentgen, telefon, telegraf, radjo, teleskop?

Maszyny więc nie wcisnęły się brutalnie ni z tego ni z owego do życia, aby w nie wprowadzić niepotrzebny zamęt. Trzeba raczej twierdzić, że elementarne potrzeby życiowe, wobec przyrostu ludności i jej rozwoju historycznego wyrwały je z nicości i wytworzyły. Zrodziły się zupełnie naturalnie, jak naturalnie wykluwają się zęby mądrości dorastającemu człowiekowi. I nie możemy ich już teraz wyrzucić z życia, choćby one to życie obdzierały z jego dawnego piękna, ciszy i prostoty. Zresztą, na jakiej podstawie opiera się niechęć do maszyn, lub ich potępienie? Już w Genezis Bóg zwraca się do młodej ludzkości, nauczając ją: „napełniajcie ziemię i czyńcie ją poddaną". A więc, ujarzmiajcie siły przyrody, wyciągajcie je z ukrycia i rozumem swoim, odblaskiem mojej wiecznej mądrości zaprzęgajcie do godnej was pracy. To też Kościoły wszelkie chętnie się posługują do swych prac apostolskich najnowocześniejszemi wynalazkami i ustanawiają ceremonjały ich poświęcania.

Tęsknota do wynalazków maszynowych znajduje wyraz w dawnych bardzo cywilizacjach Europy.

Mitologja grecka opowiada, że bóg podziemi — Hefajstos sprytnie skonstruował ze złota dwie osoby chodzące i mówią-

ce, na których się wspierał idąc, gdyż był kulawy. Legenda ta urzeczywistnia się w naszych czasach, jeśli przypomnimy próby inżynierów niemieckich nad utworzeniem „robotów", ludzi mechanicznych. Człowiek nigdy nie uniknie fizycznej pracy, chociażby nie wiem, jak się maszynami obstawił. Ale naturalne i zupełnie usprawiedliwione jest jego dążenie, aby tę pracę uczynić racjonalną, szybką, łatwą, dającą mu więcej czasu na zajęcia umysłowe. Któż może zganić moje postępowanie, jeśli ja, udając się do Krakowa... nie wybiorę się w dwutygodniową, pieszą podróż, lecz przebędę ją w kilka godzin samochodem, aby jedenaście dni poświęcić na studjowanie zabytków tego miasta? Któż może potępić wynalazców, ułatwiających ciężką pracę górników w kopalniach, chroniących ich nowemi urządzeniami od chorób i kalectwa, wyrywających z ciemności na światło? Któż może wogóle potępić wyzyskiwanie martwych sił przyrody, tworzenie dzieł, noszących na sobie piętno rozumnego ducha ludzkiego? Czyż nie jest to najbardziej zgodne z naturą człowieka, nie odpowiada jego godziwym, celowym dążeniom?

Tak, bardzo pięknie. Maszyny nie są przyczyną klęsk społecznych, które się zwaliły na obecną ludzkość. Czemu więc należy przypisać, że pojawiły się one właśnie wraz z rozwojem przemysłowym i technicznym?

Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać gdzieindziej. Maszyna sama w sobie, jako martwe dzieło mózgu człowieka nie może być przyczyną jego niedoli, gdyż człowiek zawsze nad nią panuje. Może ją każdej chwili zniszczyć, jeśli mu do istnienia przeszkadza. Tak samo wszelki wynalazek, jak druk, czy radjo — nie może być rzeczą złą, najwyżej obojętną dla kwalifikacji wartościowej. Służyć może dobru i złu, zależnie od tego czy działalność ludzka jest dodatnia, lub ujemna. Jeśli więc maszyna tak zaciążyła nad naszem życiem, że zewsząd podnoszą się głosy, narzekające na jej szkodliwość to dlatego, że *rozwój kultury duchowej ludzkości nie idzie niestety w parze z doskonaleniem się materjalnym.* A nawet więcej, kultura duchowa, wyrażająca się w religijności, chrześcijańskiej doskonałości życia, w sztuce czystej i wiedzy — zmniejsza się wraz z postępem technicznym. Dlatego człowiek, mając tak potężną broń w ręku, źle jej używa. Zamałe ma bo-

wiem urobienie wewnętrzne, aby mógł się umiejętnie, bez szkody dla subtelnego organizmu duszy posługiwać wielką skalą ułatwień życiowych w dotykalnym świecie. Zachowuje się jak prostak w luksusowym sleepingu, który upija się mydłem przeznaczonym do mycia rąk. Zewnętrzne, bogate w swej różnorodności dzieła techniczne oszałamiają go swym ogromem, psują jego i tak słabą harmonję wewnętrzną, mącą mu w głowie. Z ręką na przekładni wielkich machin, zapatrzony w lśniący krąg rozpędowych kół, poddaje się ich sile suggestywnej, zapominając o duchu i jego prawach. W celach zysku materjalnego, nie licząc się z zasadami etyki i rozumu społecznego wprowadzą maszyny wszędzie, nawet tam, gdzie są niepotrzebne, powoduje nędze, kryzysy, nadprodukcje, bezrobocie i straszne nowoczesne wojny. A sam, na wzór machin, których staje się z konieczności niewolnikiem — automatyzuje się i tępieje, jakgdyby do przemyślnych motorów ulewał część swego intellektu boskiego. Życie też płynie jednostajnym, ubogim w różnorodności szlakiem, po którym chodzą ludzie podobni do siebie, noszący na sobie stempel masowej produkcji fabrycznej, niby bele świeże wyprasowanego papieru, jak się wyraził Rabindranath Tagore, pachnące jeszcze maszyną. Nawet utwory umysłu ludzkiego, jak powieści, dramaty, symfonje wyglądają, niby wypuszczone z automatycznego kotła, w który się wrzuca kilka czarnych i białych typów, tragicznych i komicznych sytuacji na tle modnych zagadnień, zakręca się korbą i otrzymuje się gotowe dzieło.

Bezduszna, stereotypowa moda ogarnia wszystko; modne są już dzisiaj, oczy, usta, głowy ludzi, ulegających dziwnej, samobójczej pokusie upodobania się do nieżywych figur geometrycznych. Dzięki niej chłopcy wychodzą ze szkół, nie rozmawiają o mysterjach eleuzyńskich, lecz o cylindrach w Fordzie i Chryslerze.

Zburzenie jednak maszyn nie będzie lekarstwem dla obecnego, zastraszającego kryzysu moralnego i ekonomicznego, jaki powszechnie przeżywamy. Należy zburzyć ciemnotę religijną i umysłową, oddawna osnuwającą nowoczesne społeczeństwa. Należy wybić w ciasnym pokoju naszej cywilizacji okno na świat wieczny, boży, duchowy, przez ogólne zwrócenie się do ożywczych źródeł wiary i religijności. Należy też oświatą

publiczną tak pokierować, aby nie wychowywała nadmiaru zamiłowań technicznych w młodzieży. I wtedy dopiero przez naprawienie zachwianej równowagi między kulturą duchową i materjalną ludzkości, człowiek i maszyna w zgodnej harmonji będą pracować dla osiągnięcia godnych nas celów w kuźni wszechświata. *Dr. Tadeusz Kordyasz.*

---

## Z działalności „Pax Romana".

Odbyty latem r.b. we Fryburgu Szwajcarskim Kongres „Pax Romana", międzynarodowej organizacji katolickich studentów, stał się wielką manifestacją żywotności i rozwoju idei porozumienia katolików różnych krajów na zasadzie wspólności wiary. Był pozatem dowodem, że święcąca rozpoczęcie drugiego dziesięciolecia pracy organizacja uczyniła kolosalny krok naprzód w porównaniu z tem, co reprezentowała na swym pierwszym zjeździe, w 1921 r., również do Fryburga zwołanym.

Ze wszystkich kongresów, odbytych kolejno we Fryburgu (II-gi), Salzburgu, Budapeszcie, Bolonji, Amsterdamie, Warszawie, Cambridge, Sewilli i Monachjum, ostatni stał niewątpliwie na najwyższym poziomie. Pod względem życia religijnego uczestników, które znajdowało swój wyraz w codziennej mszy św. i wspólnej Komunji na intencję poległych, pokoju, misyj, pod względem intelektualnym dzięki zaproszeniu pierwszorzędnych profesorów, pod względem organizacyjnym dzięki przygotowaniu spraw przez Sekretarjat i Komitet Organizacyjny—Kongres wypadł jak najlepiej, godnie upamiętniając zakończenie pierwszego okresu istnienia „Pax Romana". Z niedość wyraźnego hasła „współpracy", której dróg początkowo nie znano, wyłoniło się z czasem pewne bardziej sprecyzowane oblicze tej organizacji. Jest ona jedynie Sekretarjatem Generalnym, ułatwiającym poznanie się i zbliżenie katolickim akademikom należących do niej krajów, a jest około dwudziestu. Służy temu celowi wymiana studentów i czasopism, wydawanie biuletynu, przedewszystkiem zaś doroczny Kongres.

W tym roku głównym tematem obrad było zagadnienie braków, jakie z punktu widzenia katolickiego cechują nauczanie w dzisiejszych uniwersytetach. Zajęli się przedstawieniem tego problemu trzej uczeni światowej sławy: O. de Munnynck z Fryburga, p. Prof. O. Halecki z Warszawy i Prof. Hildebrand z Monachjum, omawiając kolejno kwestję specjalizacji naukowej i kultury ogólnej, stosunku uniwersytetów do narodu i państwa oraz przejawów życia międzynarodowego, wreszcie uzasadniając potrzebę uniwersytetów katolickich w dobie dzisiejszej. Po referatach tych, wygłoszonych na plenum Zjazdu, odbywała się żywa dyskusja, która przyczyniła się do uwydatnienia wielu momentów i uzupełnienia myśli, podanych w odczytach. Oprócz obrad plenarnych urządzono też zebrania komisyj, których było sześć: finansowa, współpracy umysłowej, wymiany studentów, komisja studentek, Unji Kościołów i Misyjna, niewątpliwie najciekawsza i najlepiej udana z pośród wszystkich.

Nie była ona pozbawiona pewnej egzotyki: jeden z referatów miał kolega Chińczyk, w dyskusji przemawiał kolega murzyn z Fr. Afryki Zachodniej, a przysłuchiwał się uważnie oliwkowy Hindus i biały Australijczyk. Takie to rozmaite rasy i nacje reprezentowane były wśród trzystu blisko uczestników Kongresu. Z Polski przybyło ich dwunastu, w imieniu Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie“, które od początku niemal istnienia „Pax Romana" bierze w jej pracach żywy udział i umiało zyskać sobie znaczną popularność. Trzy lata v-prezesury i rok prezesury p. St. Orlikowskiego w r. 1926-27 są tego najlepszym dowodem. W roku bieżącym Polska znów wybrana została do Zarządu organizacji wraz z Francją, Niemcami, Czechosłowacją, Szwajcarją, Luksemburgiem i Holandją. Prezesurę oddano Anglji, gdzie też odbędzie się przyszły Kongres w lecie 1932 roku. Ponadto ratyfikowano ostatecznie uchwałę z lat poprzednich, przyznającą Polsce kierownictwo nowoutworzonej Komisji dla Unji Kościołów, która w szerokich rzeszach akademickich ma propagować ideę Unji. Kierownik tej Komisji, mianowany przez J. E. Ks. Prymasa Hlonda wejdzie, jako członek stały do Zarządu „Pax Romana". Przez utworzenie Komisji młodzież polska będzie mogła w jeszcze większym, jak dotąd stop-

niu dawać swój pozytywny wysiłek współpracy w międzynarodowej społeczności akademickiej.

Kongres powziął cały szereg uchwał, z których w tem miejscu wymienimy wezwanie do modłów na intencję ograniczenia zbrojeń w myśl enuncjacji Ojca św. Benedykta XV z 1917 roku, a to w związku z wyznaczoną na m. luty 1932 konferencję rozbrojeniową. Cały przebieg zjazdu cechowała atmosfera prawdziwie katolickiej współpracy i życzliwości wzajemnej. Jeżeli były wielkie nawet różnice zdań w wielu kwestjach, to nie doprowadzały one do jakichś incydentów, nielicujących z katolickim charakterem „Pax Romana" i w każdej sprawie spornej umiano znaleźć możliwe dla wszystkich rozwiązanie. Grały tu niewątpliwie rolę te czyniki najgłębszej natury, o których mówił na inauguracji delegat Ligi Narodów, że są podstawą wszelkiego międzynarodowego współdziałania, a których pełnię znajdujemy jedynie w nauce i życiu Kościoła Katolickiego.

Miejscowi obywatele twierdzili stanowczo, że nie bez wpływu na szczęśliwie zgodny przebieg obrad był urok ich pięknego i „bajbardziej pokojowego na świecie" kraju, malowniczego Fryburga, w którym nad brzegiem wijącej się Sariny, pod skrzydłami Nôtre Dame Bourgui'llon, wznosi się stara katedra św. Mikołaja, zdobna w przecudne witraże Mehoffera. Do owego cudownego Bourguillon szliśmy któregoś wieczoru po bujającym się wiszącym moście, z świecami w dłoni, prowadzeni przez Ks. Biskupa Besson, który łączy w sobie potrójny urząd pasterza Genewy, Lozanny i Fryburga.

Delegacja polska, pozostająca pod kierownictwem Ks. Prof. W. Maeysztowicza, P. M. Sobańskiego i K. Pieńkowskiego, kierownika spraw zagranicznych „Odrodzenia" — opuszczała Szwajcarję w pełni zadowolona z osiągniętych wyników i przeświadczona o dalszym pięknym rozwoju akcji międzynarodowego poznania i zbliżenia, którą realizuje „Pax Romana" w myśl hasła „Pax Christi in Regno Christi".

*J. Karp.*

# Przez moje okno

Ledwie się zbudzę o świcie, biegnę przed okno moje by wyjrzeć na Boży świat.

Naokół ciemności zalegają ziemię, kłębiaste śnieżne chmury toczą się zwolna po niebie, na zachodzie z za mgieł wychyla sie blada twarz księżyca, na wschodzie horyzont zlekka różowieć poczyna, z minuty na minutę okrywa się coraz mocniejszą czerwienią—zapowiadając zjawienie się, życiodajnej siłv—słońca.

Ogniu złoty! Nadziejo wszystkiego co żyje, ty niestrudzony pracowniku, który nie znasz ani chwili spoczynku, tocząc swą złotą kulę przez niebieskie przestworza — by wszystko i wszystkich po całej ziemi łaskawie światłem obdzielić, z jakąż radością i upragnieniem, nieodłączny towarzyszu doli ludzkiej, wyglądam twego zjawienia co rano!

Wspinasz się wysoko ku górze, ogarniasz ziemię ciepłem swych promieni, pieściwie i czule na twój widok rozchyla kwiat swe kielichy, pod tchnieniem twem drżące na liściach rosy unoszą się w przestwórz, jak dymy dziękczynnych kadzideł, rzucone w ziemię ziarno rozpiera swą znikomą powłokę by wydać na świat kiełek, zaczątek nowego istnienia; szumiące cicho strumienie, zadumane wody na łąkach, swawolne górskie potoki i niezgłębione przestworza mórz lśnią brylantami twych blasków.

Wszystko się ku tobie porywa, we wszystkiem budzisz jakiś pęd czynu, twórczości i siły.

Bogu chwała niech będzie, że słowem twem „stań się” rozpalił twą złotą pochodnię, że wszechmocną swą dłonią pchnął cię w bezkreśne przestworza, że Jego świętej woli posłuszne rozjaśniasz szlaki ludzkiego istnienia.

Gdy wydzwaniają już wieczorne godziny, gdy zsuwać się poczniesz po niebieskiem sklepieniu, gdy pochłoną cię niezadługo ciemne na horyzoncie bory, gdy przysłaniać cię poczną lekkie, zwiewne mgły, gdy noc samo wspomnienie o tobie spowije kirem żałoby—jakżesz mi smutno wówczas robi się na sercu.

Wędrówka twa niezmierzone stulecia ogarnia, ile ich jeszcze przed tobą?

Życie moje ułamkiem małej kruszyny czasu, chwili lub mgnienia.

Płyniemy ku przeznaczeń godzinie, żegnam cię co wieczór, a może na wieki?

Jeśli jutro jeszcze do mnie należeć będzie, wiedź, że wyglądać cię będę, ze szczęściem i radością, wiedź, że jak zwykle, wyciągną do Ciebie stęsknione ramiona, zmęczone me życiem źrenice rozjaśnisz twym promiennym blaskiem, a Stwórcy hołd złożę, że żyję jeszcze i piękno twe oglądać mogę.

Czy długo jeszcze o słońce?

*Marja Leszczyńska.*

---

# Na froncie walki o kulturę i prawa narodu.

**Nowy projekt prawa karnego o „przerywaniu ciąży". — Wpływy liberalne w Komisji Kodyfikacyjnej.—Propaganda grupy Boya.—Paskudztwa, same paskudztwa!—Woj. Kostek-Biernacki, jako literat.—Kurz na sali...—Powód i przyczyna ostatnich zajść antysemickich na wyższych uczelniach.**

Ogłoszenie projektu Komisji Kodyfikacyjnej o jednolitej dla całego państwa ustawie małżeńskiej wywołało silne wrażenie w społeczeństwie i wzbudziło zdrowy i normalny odruch protestu, o czem piszemy obszerniej w innem miejscu. Rozpatrując to kapitalne zagadnienie, od którego rozwiązania będzie zależał w dużej mierze rozwój katolicyzmu w Polsce, musimy wziąć także pod uwagę sprawy poboczne, łączące się z nim pośrednio, lub bezpośrednio.

Do takich należy w pierwszym rzędzie sprawa „przerywania ciąży" w projekcie nowego kodeksu karnego, który również już został opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną. K.A.P. zebrała w tej sprawie informacje następujące:

Niesłychane jest stanowisko projektu kodeksu wobec przestępstw przerywania ciąży. Mowa o tem w rozdziale 35 zatytułowanym „Przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu" w art. 229—232:

Art. 229. Kobieta, która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie go przez inną osobę, ulega karze aresztu do lat 3. Art. 230. Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5. Art. 231. Niema przestępstwa z art. 229 i 230, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był konieczny

ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, jej ciężkie położenie materjalne, dobro rodziny lub ważny interes społeczny. — Art. 232. Kto bez zgody kobiety ciężarnej płód jej spędza, ulega karze więzienia do lat 10.

Jak widzimy z powyższego zestawienia artykułów 229, 230, 231, artykuł 231 właściwie przekreśla w praktyce wszelką odpowiedzialność za spędzanie płodu, a więc za zabójstwo dziecka w łonie matki. Jeżeli pozwala się na spędzanie płodu ze względu „na ciężkie położenie materjalne", „dobro rodziny", lub na „interes społeczny", to naprawdę nie znajdzie się żadnej kobiety, którab y wyznała, że dopuściła się zbrodni zabójstwa płodu dla swojej własnej przyjemności, narażając przytem swoje życie i zdrowie. Wobec przepisu art. 231 są całkowicie zbyteczne wszelkie przepisy o występkach spędzania płodu i karalności za nie, Cała ta część rozdziału o „Przestępstwach przeciwko życiu i zdrowiu" wygląda niesamowicie, niepoważnie i kompromituje w wysokim stopniu komisję kodyfikacyjną.

Jeżeli ze stanowiska czysto prawnego zejdziemy na grunt etyki naturalnej i chrześcijańskiej, to widzimy, że projekt kodeksu karnego w tym punkcie mija się całkowicie z nakazami tej etyki i rozgrzesza od przykazania „nie zabijaj". W żadnym, nietylko z dawnych, ale i z nowoczesnych kodeksów karnych (za wyjątkiem sowieckiego) nie znajdzie się przepisów, analogicznych do art. 231 projektu kodeksu polskiego. W nowym kodeksie włoskim spędzanie płodu kobiecie bez jej wiedzy pociąga za sobą karę więzienia od 8 do 12 lat (art. 596). Za spędzanie płodu tak kobieta, jak i osoba, płód spędzająca, karane są więzieniem od 2 do 5 lat (art. 597). Kto namawia ciężarną kobietę do spędzania płodu lub dostarcza jej do tego środków choćby spędzenia nie dokonano, ulega karze więzienia od 6 miesięcy do 2 lat (art. 598). Kto proponuje lub publicznie wzywa do stosowania środków przeciwko płodzeniu ulegnie karze więzienia do 1 roku i grzywnie do 20 tysięcy lir (art. 532). Ta sama kara grozi temu, kto z chęci zysku dostarcza tych środków.

Widzimy więc, że kodeks włoski stoi na stanowisku mniej wprawdzie liberalnym, ale za to bardziej katolickim i patrjotycznym. Dotychczas obowiązujące u nas prawodawstwo karne ujmuje tę sprawę w sposób zadawalniający, dopiero w nowym kodeksie nasi domorośli sekciarze liberalno-masońscy postanowili popisać się przed całym światem szczytną tolerancją państwa wobec matek, mordujących swoje dzieci zanim jeszcze wyjdą z ich łona! Zaiste, braknie już cierpliwości. Co wyjdzie jaki projekt z Komisji Kodyfikacyjnej—to poroniony z powodu zbytniej prawomyślności liberalnej tych sui generis „postępowców". Czy byłoby rzeczą zbyt trudną rozwiązać Komisję Kodyfikacyjną i wyznaczyć pewną ilość nowych ludzi? Jesteśmy optymistami i sądzimy, że znaleźliby się w Polsce ludzie

współcześni i nowożytni prawnicy, z odpowiednim wykształceniem.

Może wreszcie dojść do tego, że w Polsce stanowić będą prawa ludzie tak oddaleni od poglądów i uczuć olbrzymiej większości narodu, jak starożytni Egipcjanie od pokolenia dzisiejszego. Doczekaliśmy się ładnych rzeczy. Jeszcze obowiązuje dotychczasowy kodeks karny, a już Komisarjat Rządu zezwolił na otworzenie w Warszawie poradni zapobiegania ciąży. „Jasną jest rzeczą—czytamy w interpelacji Klubu Ch. D. w Senacie—że zapobieganie ciąży jest eufeminizmem dla przerwania ciąży... Nie potrzeba udowadniać, jak otwarcie tego rodzaju poradni szkodliwie wpłynie na moralność publiczną. Zresztą zabiegi zapobiegania ciąży odbiją się szkodliwie na organiźmie kobiety według zdań najpoważniejszych lekarzy jakoteż wedle statystyki sowieckiej, która wykazuje, że skutkiem takich zabiegów 30% kobiet w Rosji sowieckiej jest bezpłodnych. Wobec tego podpisani zapytują p. ministra, czy jest skłonny cofnąć udzielone przez komisarza rządu zezwolenie..." Pan minister dotychczas nie odpowiedział, ani zezwolenia nie cofnął.

Jest rzeczą notorycznie znaną, że grasująca od kilku lat w Polsce szajka nieukaranych dotąd przestępców prasowych, hołdująca t. zw., boizmowi"*), zohydza w sposób nieprzebierający w środkach religję i moralność, propagując zuchwale przestępstwa na tle seksualnym i wszelkie paskudztwa moralne. Ten nieznośny stan rzeczy — sprzykrzył się już nawet niektórym uczciwszym pismom radykalnym. Oto co pisze w „Robotniku" Karol Irzykowski o działalności Boya i jego zwolennika Słonimskiego:

„Otóż w żadnym innym kraju tylko w Polsce śmieszne rewelacje literackie Boya (o jeszcze jednej kochance Mickiewicza) nie stałyby się „rewolucją" zostałyby tem, czem są: przyczynkiem do życiorysu. I w żadnym innym kraju zasług Boya około rozpowszechnienia zasady świadomego macierzyństwa nie taksowanoby, jako zaslug literackich. Trudno zaś czołowym pisarzem demokracji robić człowieka, który występuje przeciw sądom przysięgłych lub usprawiedliwia paskudztwa—dwie zasługi, które p. Słonimski wstydliwie w tem miejscu przemilczał... Pan Słonimski nie czuje—chociaż jako generał od walk ze bzdurą, czuć by powinien—że nieustanna gadanina o walce z obłudą, czysto formalna, arbitralna, bez odpowiedniego aparatu socjologicznego, psychologicznego, filozoficznego, jest również swoistem żerowaniem na ludzkiej głupocie. (Proszę stwierdzić, ile razy w artykułach pp. Boya, Słonimskiego, Krzywickiej powtarzają się wyrazy „dema-

*) A. Nowaczyński nazwał to „boyszewizmem".

skować", „zakłamanie" itp. Np. wziąć artykuł p. Krzywickiej „Kontrola współczesności" w n-rze 45). Wytworzył się pod tym względem snobizm i nowy rodzaj—nie powiem: zakłamania, lecz zacietrzewienia, bardzo niebezpieczny, który trudno będzie odwikłać. Czy p. Słonimski nie widzi, że Boy stał się Świętoszkiem, a rebours, on sam, Słonimski, czy Skiwski, jego Orgonem, a ciocią Pernelle—pani Krzywicka?

To zlegendyzowanie Boya zaczynają już przykro odczuwać różni młodzi literaci i już sporo artykułów na ten temat się pojawiło (w „Prądach", w „Linji", w „Nowej Kronice", w „Gazecie Literackiej"), a jeszcze przedtem pisali o tem J. E. Płomieński i St. Kołaczkowski w swojej literaturze. Tylko p. Słonimski nic nie widzi, choć p. Krzywicka mówi o nim, że to jedyny (?) z młodych, który poczuwa się „do obowiązku kontrolowania współczesności". Ja go zresztą nie judzę—snać p. Słonimski, psioczący zresztą na wszystkich, potrzebuje w Boyu przedmiotu uwielbienia dla równowagi. Niech go Boy ma w swojej opiece! I niech Boy jak najprędzej dostanie już państwową nagrodę literacką, do której go „Wiadomości Literackie" na gwałt windują—może wtedy już przestanie ogłupiać literaturę polską swojemi śmiesznemi problemami".

Może wreszcie dojść do tego, że istotnie Boy dostanie państwową nagrodę literacką za swoje „paskudztwa". W czasach, kiedy Kostek-Biernacki jest wojewodą, Boy-Żeleński może śmiało pretendować do nazwy najwybitniejszego pisarza „państwowego".

Nie zamierzamy zresztą bynajmniej obrażać jednego, ani drugiego tym porównaniem. Trzeba im przyznać, obydwaj są „uniques en son genre", każdy z nich reprezentuje indywidualność pełną i skończoną w całym tego słowa znaczeniu. Kostek-Biernacki stał się historycznym, a ostatnio przeszedł także do literatury, wydając zbiór nowelek pod bardzo trafnym tytułem: „Djabeł-Zwycięzca", gdzie na str. 168 czytamy taki ustęp:

„Pokochał tę pracę jak kocha myśliwy szlachetny sport mordowania ptaków i zajęcy. Normalny człowiek zawsze tęskni za mordem, choćby w najgorszym razie tylko za mordem owadów. Jest to najstarsza i najszacowniejsza tęsknota ludzka. Objawia się ona najwyraźniej w tłumach, zarówno ludzi półdzikich, jak i o najwyższej kulturze ducha. Ciemne masy chłopskie dusiły panów w czasie przeróżnych ruchów społecznych, ale sejmy i senaty uchwalają kary śmierci i prawa wyjątkowe. Człowiek pojedyńczy jest o wiele więcej litościwy, bo boi się. W tłumie nabiera szczerej odwagi. Wicek był odważnym człowiekiem i konsekwentnym złodziejem. Po ucieczce z Lublina napadał na chłopów i żydów, bijąc ich dla przyjemności i dla wydobycia ukrytych pieniędzy, według starej metody śledczej, stosowanej do dziś przez państwowe organy nawet w Anglji i jej kolonjach. Krew swoją nazywają ludzie eliksirem, który ma jakoby niepojęte własności: z krwi rodzą się mściciele, krew obmywa z win, krew

woła o pomstę i t. d. W gruncie rzeczy krew działa dość umiarkowanie: widok jej jest niemiły dla niezainteresowanych, okropny dla tracącego ten eliksir, a bardzo przyjemny dla sprawcy mordu i zranienia".

W każdej narracji—pisze Nowaczyński o książce p. woj. Kostka-Biernackiego—stale dźwięczą i na pierwszy plan dobywają się dwa motywy zasadnicze: obsesjonalne—pierwsze: nienawiść do katolicyzmu i do duchowieństwa („popi nie lubią Piłsudskiego") rozszerzana gdzieniegdzie do całego chrystjanizmu i do religjanctwa, do etyki aryjskiej wogóle. A drugie: lubowanie się w deskrypcji znęcań się, pastwienia, bicia, mordobicia i wprost mordu. Bohater centralnej noweli Celestyn Okpimurek: „służył w brygadzie Piłsudskiego i oczywiście był poganinem". Ten poganizm i nienawiść obłędna do ideologji chrystjanicznej przebija z każdego wiersza. Anima naturaliter pogana. Odrzucanie bezwzględne charitas jak u teoretyków Hitleryzmu. Nienawiść do duchowieństwa wprost dławiąca od czasu, kiedy autor nowelowego pamiętnika „rozczarował się do adwokatów, prezesów, szlachciców, proboszczów i katolickich Polek". Wyszydza więc „posłankę panią Różańcową", „księdza katechetę Matołka".

„Nie jest rzeczą przypadkową, że zbiór nosi tytuł: „Djabeł zwycięzca". Mesjanizmowi polskiemu przeciwstawiony jest kult przemocy, gwałtu, siły fizycznej, pięści, buta kopiącego w brzuch powalonych i bata świszczącego nad bezbronnymi, Nietschego „Uebermensch", „blonde Bestie". To nie jest tylko przypadkowy zbiorek luźnie dobranych opowiastek, to jest sui generis confiteor".

Zarówno nazwisko autora, jak i treść książki musiały wywrzeć zrozumiałe wrażenie. Wobec jej rozgłosu uważał za stosowne zareagować organ Watykanu „Osservatore Romano", który podkreśla, że książka ta dyszy nienawiścią do Kościoła katolickiego i religji wogóle, a nawet nie brak w niej aluzji obraźliwych pod adresem Stolicy Apostolskiej, prawa moralne depce się, bohaterami nowelek są łotrzy, prostytutki i degeneraci, opinja katolicka protestuje przeciwko tej bezwstydnej książce, w wysokim stopniu kompromitującej urząd, który autor sprawuje.

Do tej przykrej wiązanki faktów dodajemy jeszcze taką wiadomość rozesłaną przez K.A.P.:

Jesteśmy w posiadaniu ankiety, rozesłanej przez Min, W. R. i O. P. (wydział programowy) do szkół średnich żeńskich z zapytaniami, dotyczącemi twórczości Stefana Żeromskiego. Ankieta skierowana jest do uczennic klas VI, VII i VIII. Wśród pytań zasługują na uwagę m. in. następujące:

O ile znasz „Dzieje grzechu", to co myślisz o postępowaniu Ewy (potępiasz ją, czy usprawiedliwiasz?). Uzasadnij.

Która scena z „Dziejów grzechu" utkwiła ci najbardziej w pamięci?

Czy wolisz Żeromskiego jako pisarza patrjotycznego, społecznego, czy też pociągają cię bardziej jego opisy przeżyć miłosnych, lub piękna natury?

Podobne tematy do dyskusji można czasami spotkać w brukowych pisemkach, obliczonych na niezdrową sensancję. Ale żeby najwyższa instancja państwowa, kierująca wychowaniem młodzieży, wciągała dzieci z klasy szóstej do dyskusji w sprawie „przeżyć miłosnych" lub żądała od nich wyroku na Ewę Pobratymską, a tem samem kazała im wgłębiać się wyobraźnią w brudach wielkomiejskiego życia,—to naprawdę trudne do wiary.

To też z wielu odpowiedzi uczennic p. wizytatorka Michałowska (podpisana na ankiecie) zapewne nie będzie zadowolona. Brzmią one: „Nie czytałam „Dziejów grzechu" i nie interesuje mnie ta książka".

Co na to ks. wiceminister Żongołłowicz?

Tak jest! Co na to X viceminister Żongołłowicz? Co na to inni ministrowie i dygnitarze? I nietylko na to... ale także i na tamto i na owo!

Nazbierało się w Polsce już dosyć brudów, atmosfera przesycona miazmatami. Kiedyż wreszcie będziemy mogli otworzyć okna i przewietrzyć...

Czy kogo może dziwić, że w takiej atmosferze mogły powstać projekty kodeksu małżeńskiego, karnego i t. d. Pewne czynniki powiedziały sobie wyraźnie, że obecny moment jest odpowiedni do przemycania rozmaitych rzeczy, bo w powietrzu aż ciemno od kurzu...

*
* *

Pisaliśmy powyżej o grożącym nam niebezpieczeństwie umieszczecia w naszych kodeksach niesprawiedliwych i niemoralnych przepisów prawnych, sprzecznych z duchem i dążeniami narodu. Musimy jednak pamiętać, że nie mniejsze znaczenie od prawodastwa ma wykonywanie prawa. Instrumentem do tego przeznaczonym jest sądownictwo, jest to instytucja bazdzo ważna, niezbędna tkanka w organizmie społecznym, równocześnie i instrument bardzo delikatny, łatwo psujący się wskutek lada jakiej nieopatrzności ludzkiej lub błędu, a cał-kowicie zahamowany w swych dobroczynnych skutkach, gdy ktoś wkłada żelazny drąg między szprychy, lub miota piasek między tryby

i koła tej skomplikowanej i kosztownej maszyny. Można ją łatwo spaczyć i zepsuć, tak jak kompas na okręcie, zapomocą ladajakiego narzędzia, ale naprawa później drogo kosztować będzie...

Niedawno czytaliśmy w socjalistycznym „Robotniku" takie zestawienie faktów:

Przed niewielu miesiącami Sąd Okręgowy w Częstochowie rozpatrywał sprawę o pobicie aresztowanych przez policję. We Wrzosowej powiatu Częstochowskiego 2 posterunkowi wymuszali zeznania biciem. Podejrzanego o kradzież gołębi niejakiego Ujma bili posterunkowi batem oplecionym w sznur zakończony ołowianą kulą. Na posterunku P. P. znaleziono kilka lin drucianych, okutych żelazem i batów i złożono je Sądowi jako dowody rzeczowe. Oskarżał wtedy prok. dr. Karniol. Wziąwszy do ręki bat, którym katowano poszkodowanych mówił prokurator:

„To jest ten oto bat, którym w 1930 chłostano obywateli Rzeczypospolitej, tej samej Rzeczypospolitej, która już tyle wieków temu gwarantowała: neminem captivabimus nisi jure victum... Ten bat, leżący dziś na stole sędziowskim nie świstał tylko nad Ujmem i Zwolskim we Wrzosowej lecz świstał nad całą Polską. Wszyscy ludzie uczciwi wstydzili się, gdy słyszeli poświst tego bata z ołowianą kulą. I o ten wstyd i ból wszystkich uczciwych ludzi w Polsce, o krzywdę wyrządzoną całej Rzeczypospolitej"— tak zakończył swe przemówienie prokurator — oskarżam was panowie posterunkowi".

Z końcem sierpnia b.r. doręczono prok. drowi Karniolowi postanowienie ministra sprawiedliwości Michałowskiego, iż na mocy art. 242 § 1 prawa o ustroju sądów powszechnych przenosi się go z urzędu z Częstochowy do prokuratury Sądu Okręgowega w Kołomyji. Dr. Karniol zrzekł się urzędu i podał sie do dymisji"..

Oskarżeni byli: naczelnik sądą w Kętach Dymek i dwaj sędziowie tegoż sądu Dziomba i Rospond. Wytoczono im dyscyplinarkę o to, że podpisali swojego czasu protest przeciw Brześciowi.

W Bydgoszczy sprawuje urząd sędziowski sędzia Tomaszewski. Gdy na wokandzie znalazła się sprawa z oskarżenia przeciw redaktorowi „Gazety Bydgoskiej" za nazwanie Brześcia kaźnią i gdy oskarżony redaktor ofiarował dowód prawdy z więźniów brzeskich, jako świadków, sędzia Tomaszewski dopuścił ten dowód. Odebrano mu prowadzenie tej sprawy, przeniesiono proces do Torunia a sędziemu Tomaszewskiemu wytoczono kilka dyscyplinarek, między innymi o to, że w obecnym okresie oszczędności budżetowych wzywa... zbyt wielu świadków....

Fakty bardzo znamienne. Toczący się w oczach całego społeczeństwa „proces brzeski" rzucił na nasz ekran narodowy nową garść smutnych wydarzeń i refleksów. Zsumujmy to wszystko i zastanówmy się, do czego Polska dojdzie, gdy w dalszym ciągu w tym samym kierunku toczyć się będzie nasze życie wewnętrzne? Czy zdołamy w ten sposób rozbudować i udoskonalić instytucje nasze społeczne, czy też przeciwnie demoralizować będziemy je ciągle, aż doprowadzimy

do całkowitego upadku. Mimo woli przychodzi na pamięć pesymistyczne oświadczenie jednego ze świadków toczącego się procesu o ludziach, którzy wstępują w mrok i ciągną za sobą Polskę. Ciągną!...

*
* *

Przed dwoma miesiącami byliśmy świadkami żywiołowego odruchu młodzieży akademickiej skierowanego przeciwko inwazji żydowskiej na wyższych uczelniach. Spotkał się on z aplauzem i poparciem u jednych, a z bezwzględnym potępieniem u drugich. Spróbujmy zanalizować kilka charakterystycznych objawów.

Zaczęło się jak zwykle od prosektorjum. Żydzi nie dostarczają swoich trupów, chcą uczyć się na trupach chrześcijańskich. Gdy przyprzeć ich do muru w tej sprawie, powołują się na przepisy ich religji, które zakazują krajać trupy. Lecz jeżeli nie wolno im krajać trupów, to dlaczego krają zwłoki chrześcijań? Jeżeli zaś Talmud zwłoki chrześcijan krajać pozwala, to widocznie dlatego, że uważa chrześcijan za coś gorszego od żydów, za ulepionych z gorszej gliny, na co znowu żadną miarą przystać nie możemy, sprzeciwiałoby się to bowiem naszej godności! Sprawiedliwość więc objektywna jest po naszej stronie. Możemy żydom powiedzieć z zupełną słusznością: „Jeżeli wam nie wolno krajać zwłok waszych współwyznawców, to uczcie się na zwierzętach, albo wcale nie krajcie". Dziwna rzecz, że ta sprawa—tak prosta i jasna nie została dotychczas należycie unormowana przez władze. Wydanie odpowiednich przepisów w myśl wyżej wyłożonej zasady—pozwoliłoby uniknąć szeregu konfliktów i zaburzeń. Stan zaś dotychczasowy, że żydzi uczą się medycyny i chirurgji na ciałach zmarłych chrześcijan na podstawie niesłychanego wprost uroszczenia, że ciała autochtonów tego kraju są czemś gorszym i niższym od ciał ich współwyznawców—jest niemożliwy do zniesienia dla normalnego i szanującego się społeczeństwa! Bezczelnością w danym wypadku byłoby powoływanie się na zasadę równości wobec prawa przez tych, którzy tworzą w danej sprawie specyficzną grupę, mającą za zadanie niedopuścić do prosektorjów zwłok swoich współwyznawców i uzyskać w ten sposób szczególny przywilej wobec studentów innych narodowości. To jest stała metoda

żydostwa, z jednej strony korzysta z wszystkich praw, przysługującym wszystkim, z drugiej zaś strony pragnie uzyskać przewagę nad resztą ludności zapomocą faktycznych przywilejów i monopoli.

Oczywiście prosektorjum—to jeden tylko fragment zagadnienia, które jest znacznie rozleglejsze i na głębszych opiera się przyczynach. Przyczyną zasadniczą są dwie różne kultury, między którymi leży nieprzebyta przepaść obcości. Zarówno religja jak i właściwości rasowe i narodowe, obyczaje, poglądy i aspiracje są u nas i u żydów zupełnie różne i sobie obce. Żydzi tworzą w Polsce samodzielną jednostkę narodowościową i kulturalną, która chociaż terytorjalnie rozrzucona jest po całym kraju, to wszakże odcina się i wyodrębnia zasadniczo od reszty obywateli. Niezdawanie sobie sprawy z tego faktu i z wypływających stąd konsekwencji może być tylko udziałem ludzi zupełnie płytkich i głupich, jakiemi są przeważnie fanatycy t. zw. liberalizmu.

W ostatnich czasach obserwujemy proces tworzenia się i narastania inteligencji żydowskiej w Polsce. Wprawdzie i przed wojną istniała inteligencja żydowska. Można było wówczas zaobserwować dwa jej typy: typ wykształconego w naukach talmudycznych bogatego i religijnego żyda z ghetta i typ asymilatora, który z całą energją dążył do połączenia się ze społeczeństwem polskiem. Obecnie jest już inna sytuacja. W społeczeństwie żydowskiem wzięły górę prądy nacjonalistyczne, pod których wpływem typ asymilatorów, rzadki zresztą i dawniej, zniknął zupełnie, a na ich miejsce mamy całe masy młodej inteligencji żydowskiej, przyjmującej zewnętrzny tylko blichtr otoczenia zgodnie z prawem mimikry (język, ubranie, rozrywka), natomiast kultywującej bardzo starannie i z całą energją wewnętrzne i istotne przejawy kultury semickiej i czy to w formie syonizmu i prądów nacjonalistycznych żydowskich, czy pod postacią komunizmu i prądów radykalnych przeciwstawiającej się bezwzględnie cywilizacji i kulturze autochtonów i gospodarzy tego kraju. Ułatwia im akcję i daje przewagę bogactwo i zamożność sfery handlowo-przemysłowej, z której wyszli. Jest to więc faktycznie zasilona przez finanse inwazja kulturalna.

Rezultatem zjawiska jest masowe tworzenie się inteligen-

cji żydowskiej, obejmującej coraz to nowe i szersze placówki życia, za tem idzie konkurencja zawodowa w urzędach i zawodach wyzwolonych, a więc do konfliktu na tle różnic kulturalnych dołącza się konflikt gospodarczy.

Oczywiście młodzież polska musiała na to zareagować, gdyby nie reagowała dałaby dowód braku szerszych aspiracji, braku sił żywotnych, niższości i słabości katolickiej. Chodzi o sposób reakcji o jej skuteczności...

Do tematu tego jeszcze powrócimy. Tak się bowiem złożyło, że świat znowu po przerwie kilkuletniej zaczyna się interesować kwestją żydowską... Na razie chcemy stwierdzić, że odruch katolickiej i polskiej młodzieży akademickiej był odruchem w zasadzie zupełnie zdrcwym i moralnym odruchem obrony zdrowego organizmu przed inwazją silniejszego finansowo przeciwnika o kulturze obcej naszej religji i naszemu narodowi, który zaczął już ciążyć swoją przewagą. Celowość i moralność poszczególnych fragmentów można oczywiście krytykować, jak zawsze podczas objawów zbiorowych. W r. 1923-4 hasło numurus clausus zostało wysunięte na uniwersytetach bez bicia. Przez te kilka lat jednak zmieniły się w Polsce zwyczaje. Obecnie doszło już do krwawych zajść i wybuchów namiętności, w których żydzi brali aktywny udział, jako społeczeństwo odznaczająbe się wschodnim temperamentem, a pozatem w ostatnich czasach bardzo w sobie zaufane, przeżywające renesans nacjonalizmu, przekonanie, że posiadane przez nie bogactwa z jednej strony, a uzyskane wpływy w komuniźmie i innych zjawiskach społeczno-gospodarczych z drugiej strony—zapewnią im przewagę nad narodem polskim. A no, zobaczymy... *S. J. K.*

---

# DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

## Nieco o Mozarcie.

Rok temu „Hosanna" podawała garść czczegółów o Beethowenie z racji 160-cio lecia jego urodzin, dziś wypada nieco pomówić o Mozarcie, gdyż 5 grudnia upływa lat 140 od śmierci jego. Ten wielki mistrz tonów zmarł w Wiedniu w 1791 roku, w wieku lat 35, nieledwie w nędzy, i pochowany został we wspól-

nym grobie (Armengruft) tak, że nikt dzisiaj nie wie dokładnie, gdzie spoczywają zwłoki tego największego po Beethowenie muzyka. Co za tragika w takim końcu świetnej karjery artysty, który zaczął w 5-tym roku życia, jako „cudowne dziecko", podziwianemi występami na dworach europejskich...

Wolfgang Amadeusz Mozart urodził się w Salzburgu 27-go stycznia 1756 roku. Ojciec jego, Leopold Mozart, był kapelmistrzem księcia-arcybiskupa tego miasta; z siedmiorga dzieci zostało mu tylko dwoje: córka Marja-Anna, zwana w rodzinie „Nannerl", muzykalnie wysoce uzdolniona, i młodszy o lat 5 synek „Wolferl". Ten ostatni mając zaledwie 4 lata już grał na fortepianie i na skrzypcach, i zaczął komponować choć ledwo umiał nuty stawiać na papierze i rozmazywał je paluszkami. Gdy dzieci miały 11 i 6 lat, ojciec wybrał się z niemi w podróż po Europie, aby, jak mówił, „pokazać światu te cuda Boże". Fenomenalne rodzeństwo występowało na koncertach z wielkiem powodzeniem, najpierw na dworze Monachijskim a potem Wiedeńskim, gdzie cesarzowa Marja-Teresa i jej dzieci serdecznie się zajęli małymi wirtuozami. „Wolferl", ubrany we fraczek bladolila złotem haftowany *), rzucił się na szyję cesarzowej, która mu ten uścisk dziecinny macierzyńskim pocałunkiem oddała. Trochę starszej od siebie arcyksiężniczce Marji-Antoninie, późniejszej nieszczęsnej królowej francuskiej, która mu uprzejmie pomogła powstać ze śliskiej posadzki, na której się był przewrócił, rzekł chłopczyna z całą powagą: „Jesteś dobra; jak dorosnę, to się z tobą ożenię!"

Następnego roku przyszła kolej na Paryż i Londyn. Wszędzie występy „cudownych dzieci" wywoływały podziw; sypały się drogocenne upominki, a Leopold Mozart pisał do żony w Salzburgu: „Możemy założyć sklep ze szpadami, koronkami, tabakierkami, zegarkami i spinkami; ale pieniędzy niema, i jestem prawdziwie w kłopocie, skąd ich wziąść!"

W Paryżu pani de Pompadour nie uważała za stosowne oddać dziecku pocałunkiem za serdeczne przywitanie, na co „Wolferl" zauważył: „Ta malowana dama nie raczyła mnie uści-

---

*) Zrobiony na miarę jego rowieśnika, małego arcyksięcia Maksymiljana, późniejszego arcybiskupa-elektora kolońskiego i dobroczyńcy Beethowena.

skać, a przecież cesarzowa austrjacka pocałowała mnie jak mamusia!" Za to córki Ludwika XV i królowa Marja Leszczyńska obsypywały „cudowne dzieci" pieszczotami i słodyczami, a papa Mozart pisał: „Byliśmy zaproszeni na obiad dworski do Wersalu; królowa posadziła mego syna tuż przy sobie, i sama mu nakładała na talerz. Mówi ona po niemiecku równie dobrze jak i my; a że król ani słowa nie rozumie, tłomaczyła mu dowcipy naszego Wolfganga".

W Londynie kapelmistrz nadworny króla Jerzego III-go, Joh. Christian Bach, najmłodszy syn Sebastjana, stawiał dziecku rozmaite trudne zadania,—jak różnorodne improwizacje, transpozycje na trudne tonacje, akompanjament do śpiewu bez przygotowania itp.—a z wszystkich tych prób 7-mio letni artysta wychodził zwycięsko, tak, że Bach zachwycony zawołał: „Nie jeden kapelmistrz umiera nie umiejąc tego, co to dziecko już dziś potrafi!"

Jeszcze świetniejsza była druga podróż do Londynu w 1764 r. Królewska para i cały dwór angielski nie wychodzili ze zdumienia, patrząc na 8-mio letniego jasnowłosego chłopczynę, grającego na organach „a prima vista" najtrudniejsze utwory Bacha lub Händla i przebierajacego rączkami po klawiszach a nóżkami po pedałach z zadziwiającą zręcznością. Tu w Londynie napisał Mozart pierwszą swą symfonję i 6 sonat fortepjanowych, które dedykował królowej Karolinie.

Gdy mały wirtuoz skończył 10 lat, rodzina powróciła do Salzburga i ojciec zaczął z nim poważne studja. W 12-tym roku życia napisał Mozart pierwszą operę w stylu włoskim, „*La finta semplice*" (udana prostota) i pierwszą Mszę, którą sam dyrygował w Wiedniu, przy poświęceniu kościoła zakładu sierot (Waisenhauskirche). W r. 1769 ojciec zawiózł go do Włoch; podróż ta była prawdziwym pochodem triumfalnym. Kościoły w których Mozart grał na organach i teatra w których koncertował, bywały przepełnione. „Evviva il maestro! Evviva il maestrino!" wołano z zapałem. Operę jego „*Mitridate*" grano 20 razy z rzędu w medjolańskiej la Scala, a w Bolonji został przyjęty, po trudnym klauzurowym egzaminie, na członka Akademji „dei Filarmonici". W Rzymie Ojciec św. Klemens XIV odznaczył go orderem „Złotej ostrogi", co mu dawało prawo do tytułu „cavalliere". Tu miała miejsce sławna anekdota o wielkotygodniowem *Miserere*

Allegriego, które mały artysta spisał ukradkiem na dnie swego kapelusza, podczas jego wykonania w kaplicy Sykstyńskiej. *) Nabożeństwa wielkotygodniowe wywołały ogromne wrażenie na 13-sto letnim podówczas młodzieniaszku; w późniejszych latach lubił jeszcze opowiadać o tym swoim pobycie w Rzymie i o swych tamże przeżyciach: „*Wie mir de war! Wie mir de war!*"... (Jak mi tam było!) powtarzał wtedy z przejęciem.

W Neapolu wszystko się cisnęło do teatru San Carlo, aby usłyszeć „łabędzia salzburgskiego". Te wszystkie hołdy i powodzenia nie przewróciły jednak w głowie młodocianemu artyście, który zachował beztroski i naiwny umysł dziecinny. Do siostry już dorastającej, która pozostała przy matce w domu, pisze na przykład: „Czekam z upragnieniem chwili samotności, aby móc przewrócić parę koziołków..."

* * *

Nie będziemy tu opowiadać szczegółowo całego życia Mozarta: jego przykrych przepraw z nowym arcybiskupem salzburgskim, zarozumiałym, ograniczonym i małostkowym Hieroninem, który traktował Mozarta jak swego lokaja; ani jego zerwania z tym tyrańskim chlebodawcą, ani bolesnych zawodów na innych niemieckich dworach, w Monachium, Manecheim i Wiedniu, wreszcie osiedlenia się w naddunajskiej stolicy, ożenienia się z Konstancją Weber, ukochaną „Stanzi", — ani świetnej oferty króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II, który mu ofiarowywał ogromną jak na owe czasy pensję 3000 talarów rocznie, jako nadwornemu kapelmistrzowi; z miłości dla swej austrjackiej ojczyzny, Mozart odmówił i po krótkim pobycie w Berlinie powrócił do swego ciasnego kółka, utrzymując się z lekcyj, koncertów i szczupłego dochodu swoich kompozycyj. A komponował niezmordowanie: sonaty, symfonje, ronda, kwartety, opery. Ale nas tu obchodzi głównie muzyka religijna Mozarta. Możnaby o niej powtórzyć, co Witte powiedział o utworach religijnych Beethovena: „Jest to muzyka religijna, ale nie kościelna". Mozart napisał niejedną Mszę, którą mieliśmy sposobność słyszeć w znakomitem wykonaniu, z pierwszorzędną orkiestrą i wybor-

*) Członkom kapeli papieskiej zabronionem było pod karą ekskomuniki udzielać komukolwiek partytury wykonywanych przez nich arcydzieł muzycznych.

nymi śpiewami w Drezdeńskiej Hofkirche, przed wojną, gdy jeszcze królestwo sascy z całą rodziną zasiadali w swej loży po prawej stronie wielkiego ołtarza, a z przodu zwisał kobierzec zdobny po rogach Orłami naszemi i Pogoniami. Słuchaliśmy z podziwem tego... koncertu w kościele, a liczni w Dreznie cudzoziemcy, zwłaszcza Anglicy i Amerykanie, przychodzili tłumnie na tę „catholic opera", jak słusznie nazywali tę audycję. Mimo wzorowego porządku, utrzymywanego przez szamerowanych srebrem zielonych szwajcarów (kolory saskie), mimo rozdziału niewiast od mężczyzn, zajmujących (jak zwykle w Niemczech) jedne prawą, drudzy lewą stronę barokowej nawy, miało się wrażenie raczej sali koncertowej niż katedry. Amerykanie, mimo upomnień szwajcarów, odwracali się co chwila plecami do ołtarza, na którym w sześciu kolosalnych szczerosrebrnych świecznikach płonęło sześć nieprawdopodobnej grubości czysto woskowych świec, aby szukać lornetką na chórze soprana lub alta śpiewającego cudowne *solo* przy wtórze anielskich smyczków.... A tymczasem na ołtarzu sprawowała się Najświętsza Ofiara, prawie niepostrzeżenie dla tłumu zasłuchanego w czarowne Mozartowskie tony, i tylko od czasu do czasu srebrny dzwoneczek, oraz cichy, ginący w oddali głos kapłana śpiewającego prefację przypominał, że się jest w kościele, na Mszy świętej.... A przecież ten sam Mozart wyrzekł kiedyś te znamienne słowa: „Oddałbym całą moją twórczość za jedną gregorjańską prefację!"

Ostatniem dziełem Mozarta było słynne „*Requiem*", pisane w tak niezwykłych okolicznościach, że stało się wprost legendarnem.

Mozart miał głęboko religijną duszę; uczucie to przejął po wierzących i praktykujących rodzicach;*) mówię „uczucie", bo wykształcenie jego religijne było dość powierzchowne, wiara dziwnie nieoświecona, jeśli mógł pod koniec życia zapisać się do wolnomularzy, co mu nie przeszkadzało chodzić nadal do kościoła i komponować Mszę; uważał je — jak wielu współczesnych — za stowarzyszenie ideowe, humanitarne, filantropijne i nie domyślał się wcale jego ukrytych wywrotowych celów. Potrafił nawet namówić swego zacnego ojca do przystąpienia do

*) „Nach Gott kommt gleich der Papa" — pisze gdzieś.

sekty; a jakim był ten ojciec, to widzimy z następującego urywku listu do syna, który jako młody chłopiec wybierał się z matką w powtórną podróż do Paryża: „Życzę ci, synu, łaski Bożej, którąby ci wszędzie towarzyszyła, i nigdy cię nie opuszczała. Tak, ona cię nigdy nie opuści, póki będziesz pilnie spełniał obowiązki chrześcijanina-katolika".

Wśród gorączkowej pracy nad „*Fletem żaczarowanym*"— który jest, jak wiadomo wyidealizowanym obrazem wolnomularstwa, — w maju 1791 r. zjawił się pewnego księżycowego wieczora w mieszkaniu artysty na Rauhensteingasse jakiś wysoki, chudy mężczyzna w popielatem ubraniu, i przyniósł w zapieczętowanej kopercie zamówienie na uroczystą Mszę żałobną; list był napisany wytworną ręką i w bardzo pochlebnych dla Mozarta wyrazach, ale bez podpisu. Poradziwszy się żony, bez której wiedzy nic nie przedsiębrał ważniejszego, Mozart przyjął zamówienie, i zażądał za wykonanie.... całych 50 dukatów. Nieznajomy odszedł i powrócił nazajutrz o tej samej porze z żądaną sumą, obiecując dopłatę po skończeniu dzieła. Gdy Mozart chciał się dowiedzieć, kto właściwie zamawia owo *Requiem* usłyszał odpowiedź: „Niech mistrz się o to nie dopytuje, bo i tak wszelkie jego usiłowania spełzną na niczem". *)

Mozart od niejakiego czasu czuł się chorym: zawroty głowy, ogólna niemoc, nagłe puchnięcie rąk lub nóg, zimne poty, plamy na całem ciele, które zjawiały się bez widocznej przyczyny i taksamo znikały bez śladu, — wszystko to dziwnie go niepokoiło i wprawiało w zabobonny nastrój; miał on wielu wrogów, którzy mu zazdrościli geniuszu, zwłaszcza całą wiedeńską klikę muzyków włoskich z Salierim na czele, którzy byliby go chętnie utopili w łyżce wody. To też, gdy te niepokojące objawy zaczęły się coraz częściej powtarzać, powstało w jego umyśle podejrzenie, iż jest otrutym. Z początku nie mówił o tem nikomu, lecz wreszcie zwierzył się swojej „Stanzi", która z przerażeniem skonstatowała, iż z jej mężem coś dziwnego się dzieje, — mianowicie od podróży obojga małżonków do Pragi gdzie z wielkiem powodzeniem wystawiono jego operę „*La cle-*

---

*) Dzisiaj wiadomo, że zamawiającym był hr. Walsegg, wiedeński meloman, który chciał mieć to „Requiem" na rocznicę śmierci swej niedawno zmarłej żony, aby się niem popisywać jako swoim własnym utworem.

*menza di Tito"*, do libretta Metastasia na koronację Leopolda II napisaną. Gdy wsiadał z żoną do powozu, aby się udać na premierę do stolicy Czech, pewnego pięknego sierpniowego wieczora 1791 r. wyrósł nagle jak z pod ziemi tajemniczy szary jegomość, — „der lange Graue" — i zapytał go z zagadkowym uśmiechem, kiedy *„Requiem"* będzie gotowe? — Mozart odpowiedział mu, że skoro tylko z Pragi powróci, zabierze się natychmiast do pracy. Spotkanie to wywarło na artyście niepokojące wrażenie, od którego i pani Konstancja nie mogła się obronić; a w Mozarcie rosło przekonanie, że to *„Requiem"* będzie ostatniem jego arcydziełem. Myślał o niem dzień i noc, a po powrocie z Pragi pracował nad niem jednocześnie z *„Fletem zaczarowanym"*, który wreszcie wystawiono w Wiedniu 30 Września. Powodzenie było ogromne, a wielki kompozytor, który miał już tylko 2 miesiące życia przed sobą, mógł sobie powiedzieć, że teraz nareszcie zabłysło mu w jego własnej ojczyźnie słońce sławy, które tak jasnemi promieniami złociło jego dziecinne i młodzieńcze lata zagranicą.

Teraz mógł całą swą siłę obrócić na pisanie *„Requiem"*; pracował nieraz do 2-giej w nocy z gorączkowym pośpiechem; *„Introit"* i *„Kyrie"* były już gotowe,—więc zabrał się do sekwencji. Potężny średniowieczny poemat Tomasza z Celano owładnął jego duszę, a fantazja, pobudzona groźnym dźwiękiem łacińskich tercyn, pracowała nad muzyczną szatą dla tego niezrównanego tekstu. Wstrząsające akordy strofy: *„Gere curam mei finis"*, błagalna modlitwa: *„Lacrimosa dies illa"* — snuły mu się w gorączkowych widzeniach; nieraz budził się z krzykiem wśród okropnego koszmaru, zrywał się, zapalał świecę i stawał w bieliźnie przy pulpicie kompozytorskim, aby rzucić na papier genialny pomysł muzyczny, który mu się we śnie zrodził. Potem rzucał się wyczerpany na łoże,—a Stanzi, wchodząc rano do pokoju męża, zastawała go ciężko dyszącego lub jęczącego przez sen, świecę wypaloną do cna, a na biurku rozrzucone liczne arkusze, zapisane drobniutkiemi nutami.

Zbliżamy się do końca.

Pewnego pięknego dnia listopadowego pp. Mozartowie udali się na spacer do Prateru; złote i purpurowe liście padały cicho z drzew, strącane niewidzialną ręką; ostatnie promienie popołudniowego słońca słały się na zielone jeszcze trawniki; ciepłe

powietrze jesienne przesiąknięte było tą znaną wonią cmentarną, budzącą smętne myśli w sercu człowieka. Mozart ujął rękę żony i zaczął poraz pierwszy mówić jej o swojej bliskiej śmierci, o wiecznem rozstaniu. „Wiem—kończył ze łzami w głosie, — że to moje „*Requiem*" piszę dla siebie. Czuję się bliskim końca... Otruto mnie... nie mogę się pozbyć tej myśli".

Pani Konstancja spojrzała z lękiem na męża: był szaroblady, a błękitne jego oczy przygasły. Powróciwszy do domu położył się, aby więcej nie wstać; symptomaty tajemniczej choroby występowały coraz silniej, lecz chory nie tracił ani przytomności, ani swej wrodzonej miłej uprzejmości Ciągle mówił o swem „*Requiem*" i naszkicował je w głównych zarysach aż do końca *) lecz nie było mu danem wykończyć je samemu.

W przeddzień śmierci popołudniu przyszło do niego kilku przyjaciół: sopran, bas i tenor z jego „„*Louberflote*". Mozart zapragnął usłyszeć choć raz swoje „*Dies irae*": sam wziął alt, i dyrygując z łóżka, zaczęli we czterech śpiewać słynną sekwencję. Doszli do przepięknege „*Lacrimosa*",— gdy wtem Mozart odłożył na bok partyturę, zasłonił twarz rękoma i zaczął rzewnie płakać. Przyjaciele zamilkli, owładnięci złowrogiem przeczuciem.

Pod wieczór stan chorego nagle się pogorszył; wezwano księdza, ale długo trzeba było szukać: odmawiali jeden po drugim niesienia ostatniej pociechy... wolnomularzowi...

Około 1-szej w nocy zmarł genjalny artysta w objęciach żony i bratowej, osierocając czworo drobnych dziatek.

W spuściźnie jego znaleziouo tylko 69 florenów. Przeto sprawiono mu jaknajskromniejszy pogrzeb; żaden z przyjaciół nie dotrwał do końca smutnego obrzędu: zawrócili od bramy cmentarnej, dla błota, deszczu i niepogody. Stanzi nie mogła oddać mężowi ostatniej posługi, przed bliskiem przyjściem na świat córeczki; a gdy w jakiś czas potem udała się na cmentarz, aby pomodlić się na mogile, nie mogła jej odszukać. Pokazało się bowiem, że właśnie zmieniono grabarzy, a nowi nie wiedzieli dokładnie, gdzie złożono przed miesiącem zwłoki niejakiego Mozarta...

---

*) „Sanctus" i „Agnus" zorkiestrowal Süssmayr, uczeń i przyjaciel mistrza, wedle ostatnich wskazówek jego.

W 100-letnią rocznicę jego śmierci, miasto Wiedeń wzniosło mu wspaniały pomnik marmnrowy na cmentarzu St. Marx, na tej „kwaterze", na której przypuszczalnie został pogrzebany, Lecz dopiero na odgłos trąby archanielskiej dowiemy się dokładnie, gdzie leżały prochy wielkiego czarodzieja tonów, gdy

Tuba mirum spargens sonum
Per sepulchra regionum.
Coget omnes ante thronum.

*S. M. R.*

---

# Lisieux a piśmiennictwo.

Wśród licznych dobrodziejstw, jakiemi św. Tereska obdarza nieustannie ludzkość, wśród deszczu róż, spływającego na nas wonną falą z wysoka, pobłyskują też kartki wielu ślicznych dzieł, powstałych pod Jej wpływem i ku Jej czci. Bogaty plon na niwie piśmiennictwa wyrósł dzięki wizytom w Lisieux i to nietylko pod piórem katolików, żeby tylko przytoczyć książkę pani Delarne-Mardrus, niewierzącej powieściopisarki francuskiej o św. Teresce. Na niektóre z jej poglądów zgodzić się nie można z punktu widzenia katolickiego, nie rozumie bowiem umartwienia, głębszej pracy nad sobą ani życia zakonnego, niemniej jednak dzieło jej jest hołdem oddanym cnotom św. Tereski i trafiło z pewnością do domów i rąk zamkniętych dla sztandarowo katolickiej literatury.

Św. Tereska tak wyrozumiała i czująca po ludzku nie pogardziłaby tym darem.

Z poruszenia najgłębszych umartwień duszy powstała książka pastora angielskiego Vernon Johnson'a p. t. „One dord — one faith. (Jeden Bóg — jedna wiara). Johnson był bardzo gorliwym anglikaninem, prawdziwym apostołem wśród swoich. Najmniejsze powątpiewanie o prawdzie wyznawanej przezeń religji nie przychodziło mu do głowy. Pojechał do Lisieux, wiedziony ciekawością na skutek przeczytanej autobiografji świętej p. t. „Dzieje duszy". Źródłem jego nawrócenia była jednak „mała święta" tylko pośrednio, przekonała go o prawdzie katolicyzmu jedyność i powszechność kościoła rzymskiego, których wspaniałe i niespodziewane unaocznienie

miał w Lisieux. Wszystkie bo narody, języki, rasy i stany spotkał u stóp świętej Tereski, wszyscy słuchali w ten sam sposób tej samej Mszy św., przystępowali do tych samych Sakramentów św., znaczyli skronie wodą święconą, czcili Matkę Najświętszą i Świętych. Ta jednomyślność i łączność różnorodnego tłumu zachwiały jego dotychczasową spokojną pewnością wyznaniową a że był z gruntu prawym i w myśli i w czynie, zaczął dociekać i badać pisma Ojców i Doktorów Kościoła. Doszedł do tego samego wniosku do jakiego doprowadziły studja religijne ojca konwertytów anglikańskich kardynała Hewmana, pozostawała mu tylko jedna droga: przejście na łono katolickiego kościoła. Johnson pojechał do Rzymu, by tam otrzymać z rąk prawowitej władzy święcenia kapłańskie. Dzieje swej duszy opisał w autobiograficznem dziele; widzimy drogi, jakiemi umysł Vernon'a przechodził od pierwszych powiątpiewań w prawdę własnego wyznania do niezachwianej pewności i wiary w boskie posłannictwo Kościoła rzymskiego, współczujemy boleści konwertyty, gdy porzucać musiał to wszystko, co stanowiło treść jego dotychczasowego życia.

Złotą nicią przewija się przez opowiadanie imię Świętej z Lisieux, ciche mury Karmelu, pogodna siedziba Jej dziecięcych lat „Ses Bnissonnets". Nie brak i odwiedzin u siostry świętej, obecnie przełożonej Karmelu.

Inny charakter ma książka o uprzywilejowanym słudze św. Tereski, lotniku wojskowym w czasie wojny światowej a potem misjonarzu u Paupasów, księdzu Bonrjade. Czyta się ją z niesłabnącem zainteresowaniem do końca. Napisana świetnie, z artystycznem wirtuozowstwem ma miejscami czar właściwy utworom muzycznym o powtarzającej się, przepięknej zasadniczej melodji. Czasami znów rzuca z kinematograficzną szybkością na ekran naszej uwagi świetne obrazy walk powietrznych lub mroczne i dzikie wnętrza pieczar, które Papuasom służą jako mieszkanie. I na kartach tej książki króluje wszakże św. Tereska.

W nowicjacie w Fryburgu przeczytał Bonrjade „Dzieje duszy". Odtąd książka ta towarzyszyła mu stale. W kasarni, w okopach, dokąd go zawiodła wojna światowa z ciszy nowicjatu, w służbie lotniczej i na niegościnnych wybrzeżach Papuazji zawsze ją będzie miał pod ręka. „Bez św. Tereski

zrozumieć Bonrjade'a nie można" pisze jeden z jego towarzyszy ze Zgromadzenia Ojców Misjonarzy z Issondun Bonrjade nazywał się sam „pilotem św. Tereski" jej obraz przyozdabiał Spad'y i Nieuport'y, na których wzlatywał a tak zwany „czarny zeszyt" był powiernikiem otrzymywanych od Niej łask i modlitewnikiem zarazem. Bonrjade był bardzo dzielnym, bohaterskim lotnikiem.

Odniósł 28 zwycięstw powietrznych nad Niemcem, był 16 razy cytowany za waleczność i otrzymał krzyż oficerski Legji honorowej. W prostocie swej bał się pychy i miłości własnej: „Nie pozwól" zwierza się w zeszycie świętej „bym z tej chwały ludzkiej, którą zyskuję, zatrzymywał cokolwiek dla siebie jako własną zasługę". W chwilach najgorętszej walki i naprężenia wszystkich nerwów, w obliczu zewsząd czyhającej śmierci żyje Bonrjade w promieniu Jej opieki. „Ryk armat całej Europy" — powiada Peyriller — „nie zagłuszył cichego głosu św. Tereski". „Dzieje duszy" żywiej stoją mu przed oczyma, niż karty historji, które piszą się przed jego okiem „we krwi i łzach, wśród szczęku broni i bolesnych jęków konających".

Zaraz po zawieszeniu broni spieszy Bourjade do Lisieux oddać św. Teresce odznaki uzyskane. U stóp Jej pamięta o tych, którzy nie doczekali powrotu. Wie z doświadczenia, że ku Niej, królującej w wiecznych przybytkach, wznosiły się przedśmiertne modlitwy ludzi, których chwila każda stawiała u progu wieczności. Peyriller opisuje ślicznie rozmyślania Bourjade'a na widok ciemnych krat chóru karmelitańskiego w jasnej świątyni, którą porównuje do statku. Po jednej stronie—powiada—są podróżni, beztroscy; obojętni na ciężką pracę tych, którzy okrętem kierują. Załoga mozoli się po drugiej stronie kraty, na spodzie statku wśród sprężyn, śrub i motorów... Na pokładzie bawią się i śpiewają, lecz na dole bije serce okrętu. I dzięki załodze na posterunku za surową kratą posuwa się na bystrych wodach dziejów niezwyciężona flota Chrystjanizmu".

Nastrojowo opisuje Peyriller pobyt misjonarza Bourjade u Papuasów. Widzimy ciągły, nieustanny trud kapłana, niewdzięczną pracę bez pozytywnych rezultatów, jakoby pogrzebanie żywcem bohaterskiego i znanego lotnika. Osłodą w cięż-

kich „terminach" wewnętrznych i z zewnątrz przychodzących jest mu św. Tereska. Zaraz po przyjeździe notuje w czarnym zeszycie: „Zachowałaś mnie wśród zgiełku bitew od zasadzek wrogów, uratowałaś później od sideł zakładanych przez dobrze mi życzących... zachowaj mi twoja opiekę u progu tej wyspy niegościnnej, błagam Cię, niechaj sobie w imię Twoje utoruję drogę do dusz. Spraw też, bym na niej był, jak ten proch nieużyteczny, zdeptany przez niewiernych w ich pochodzie ku Bogu".

Modlitwa jego została wysłuchaną. W 3 lata niespełna apostolskiego życia w Papuasji konał w szpitalu na wyspie Vort-Le'on jeden z najświetniejszych lotników Francji. Na zasłonie od komarów zawieszonej nad jego łóżóiem przyszpiliły Siostry obrazek świętej z Lisieux. Jak niegdyś walczył w powietrzu pod Jej znakiem i zwyciężał, tak i w tej ostatniej walce na ziemi tarczą mu była i obroną...

Wiele jeszcze ślicznych myśli, podanych w wyborowej szacie językowej zawiera książka Peyriller'a a unosi się nad nią promienna wizja św. Tereski, która wybranym swoim nie same deszczyki róż zsyła na ziemię lecz zato najostrzejsze ciernie zamienić im potrafi na złote strzały miłości.

*Celina Stoińska.*

# U progu wielkich rocznic literackich.

Tak się składa, że Polska, przeżywająca obecnie tragiczny kryzys ducha i kultury narodowej, równocześnie znajduje się w okresie wielkich rocznic narodowych. Uroczystości Pieśniarza czarnoleskiego, stulecie wielkiego Czynu Nocy listopadowej, pamiątka płowiecka—oto trzy największe filary rocznic ostatniego trzechlecia.

Ta wiązanka, przeplatana szeregiem drobniejszych ale nie mniej ważnych uroczystości z dziedziny naszej polskiej kultury narodowej, jeszcze się nie skończyła. Przeciwnie, zapowiada się wcale bujnie.

W roku bieżącym, tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim

wysuwają się na plan pierwszy niezawodnie trzy wielkie rocznice literackie, przypominające nam i Serce kochające za miljony i Krzemień gorący, co wypala ogniem sarkazmu winy narodowe.

Rok 1932 to dla Polaków rok Mickiewicza i Wyspiańskiego. Sto lat upływa od chwili narodzin „Dziadów części III" i „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego". Ćwierćwiecze zaś mija, gdy zastygło snem wiecznym płomienne pióro autora „Wesela" i „Wyzwolenia".

Każda rocznica narodowa krzepi nasze serca, pobudza myśl naszą ku lepszej i intensywniejszej służby ojczystej. Kto nie zaprzedał się martwemu egoizmowi, kto ma choćby iskierkę poczucia dla wielkiej i świętej sprawy ojczystej, nie przejdzie obojętnym krokiem koło tych słupów granicznych i tablic orjentacyjnych, mówiących nam o POLSCE, ale stanie i przyjrzy się im dokładnie, posłucha, co one mówią i w dalszej drodze ich radą kierować się będzie.

Rocznice tegoroczne, Mickiewicza i Wyspiańskiego, uczcijmy godnie, jak przystoi na synów wielkiego Narodu. Niech nie przejdą głucho dni wzniosłych wspomnień. Wszak tak bardzo nam potrzeba wzmożenia sił w narodzie, tak bardzo nam potrzeba silnego fundamentu wiary w naród i w naszą kulturę narodową. Uczcijmy ten rok choćby prostem przypomnieniem tylko potężnych idei i płomiennych serc. Sięgnijmy do krynicy ich dzieł. Czerpajmy stąd tę świętą naukę, jak należy kochać i służyć Ojczyźnie. Od Mickiewicza i Wyspiańskiego dowiemy się, że Polska to nie „dom publiczny" ani „naród idjotów", ale „Polska—to jest wielka rzecz", którą kochać należy całą głębią duszy. Oni to, Mickiewicz i Wyspiański, powiedzą nam, że naprawę Rzeczypospospolitej należy rozpocząć nie od armat, bata i kaźni, ale od odrodzenia samego siebie. „O ile polepszycie i powiększycie dusze wasze—o tyle powiększycie prawa wasze i powiększycie granice wasze".

Niechże ten rok obecny dla nas, przyszłości narodu, będzie rokiem rekolekcyjnym w przededniu objęcia duchowego nad narodem władztwa. Rozczytajmy się w „narodowej ewangelji", która kiedyś serca naszych ojców krzepiła. Zgłębijmy

kopalnię ideowych ziarn zawartych w dziele drezdeńskiem. Wydobądźmy zeń, co i dzisiaj nie jest pozbawione aktualności i wartości. A będzie tego niemało! Wsłuchajmy się w potężny głos krakowskiego Mistrza, byśmy nareszcie zrozumieli tego największego z pośród poetów Młodej Polski. Nie tylko zrozumieli — ale byśmy także wyzbyli się wreszcie tych wad i grzechów, za które przecież tak ciężko pokutowaliśmy i jeszcze pokutujemy, a które tak bezlitośnie i stanowczo chłoszcze podwawelski Stańczyk.

Nauka nasza w roku bieżącym, którą odbywać mamy pod duchowem kierownictwem tych dwóch wielkich nauczycieli narodu tem lepsze i wartościowsze przynieść powinna owoce, że obaj oni względem sprawy ojczystej z dwóch wręcz przeciwnych wychodzą założeń. Ale obu ich łączy jedno wielkie ukochanie Narodu—Polski. Patrząc z perspektywą lat na dwa te bieguny, mamy możność zestawiania ich zapatrywań i rad oraz możność doboru tego, co doświadczenie osądziło jako dobre i pożyteczne.

Z tego punktu widzenia przedewszystkiem zabierzmy się do uczczenia wielkich rocznic. A potem pamiętajmy i o walorach artystycznych i tych wszystkich momentach, które wychodzą poza element narodowy. Przytem nie zapomnijmy także o setnej rocznicy śmierci księcia poezji niemieckiej, o Goethem, który przecież niemały wywierał wpływ na literaturę polską, m. in. i na Mickiewicza.

*A. F. Kowalkowski.*

---

# SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

**Dzień milczenia Gandhiego — upomnieniem dla chrześcijańskiego zachodu.** Pod takim tytułem zamieszcza wiedeńska „Schoenere Zukunft" w № 4 z 25 paźdz. b. r. w dziale kultury następujące uwagi:

— Gandhi, przywódca ruchu o niepodległość Indyj, nie wyrzekł się swego ascetycznego, prostego sposobu życia nawet w Londynie, gdzie bierze udział w pertraktacjach wielkiej konferencji celem ułożenia nowej konstytucji dla Indyj. Przychodzi na wszystkie posiedzenia w stroju rodzimym, hinduskim, a raz nawet zachowywał milczenie przez cały czas konferencji,

gdyż to był jego tygodniowy dzień milczenia. Wychodzące w Bazylei czasopismo „Schildwache” łącznie z tem pisze: „Jakież głębokie wrażenie musiał ten hinduski poganin wywołać na „wypolerowanych” mężach stanu! Głębiej myślący wśród nich popadli może w zakłopotanie, pobudzające ich do gruntownego rachunku sumienia! Człowiek, który dzisiaj jest potęgą, przed którą drży dumna Anglja, ani w najdrobniejszej części nie zapiera się swego pochodzenia, swego rodzinnego stroju, swych religijnych zwyczajów. A ohociaż toczą się ważne sprawy o jego indyjską ojczyznę, on przestrzega swój tygodniowy dzień milczenia. Będzie miał jeszcze dosyć czasu do mówienia! Dla niejednego katolika ten poganin może być przykładem. Jednakże powinno być raczej odwrotnie, w myśl woli i nakazu Jezusa: Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widząc dobrze uczynki wasze, chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech. Jakżeż bardzo przydałby się podobny dzień milczenia w tygodniu nowoczesnym ludziom kultury zachodniej! Jakiem wybawieniem byłby taki tygodniowy dzień milczenia, nałożony naszej dzisiejszej gadatliwej prasie codziennej i jeszcze bardziej paplającemu radjo! Przyjdzie może czas, że powrócimy do średniowiecznego ideału klasztornego milczenia. Bardzo a bardzo nam potrzeba mniej mówić i pisać, natomiast więcej modlić się i działać”.

Przełożył *A. F. K.*

**Janina Chojecka „Opętańcy“.** Do literatury pamiętnikarskiej o przewrocie bolszewickim na Ukrainie przybyła książka p. Chojeckiej. Dziwna rzecz, że ten bolesny temat specjalnie sobie upodobany kobiety, na dowód wystarczy choćby przypomnieć o „Pożodze” Kossak-Szczuckiej i „Burzy od wschodu” Dunin-Kozickiej. Opowieść p. Chojeckiej jest rozmiarami szczuplejsza od wyżej przytoczonych prac; ustępuje także p d względem momentów artystycznym „Pożodze”. Niemniej jednak zawiera w sobie cały szereg momentów, dzięki którym zasługuje na uważn przeczytanie. Na 126 stronach rozsypane są perełki — wysokiej miary partjotyzmu i głębokiej wiary.

Rodzina p. Chojeckiej straciła w odmęcie rewolucyjnym majątek rodzinny i bogate zbiory muzealne, będące wyn kiem pracy całych pokoleń. Przez parę lat żyli pod grozą śmierci, cudem wyrwani z krwawych opresji, a mimo to ani śladu rozpaczy, zwątpienia w miłosierdzie Boże, przeciwnie ufne poddanie się wyrokom Opatrzności. Nie mogę sobie odmówić, aby nie zacytować choć kilku wierszy z tych kart naprawdę podziwu godnych: „Byłam przeświadczona, iż odzyskanie Wolnej i Niepodległej Ojczyzny musimy okupić zupełną ofiarą i wyrzeczeniem się wszystkiego' W tym też duchu wlokłam ochoczo, coprawda ciężką taczkę ówczesnej naszej egzystencji”. „Każde pokolenie musi „Macierzy* swą daninę spłacić. Pradziad mój, Jan Nepomucen Chojecki, pro publico bono prawie cały majątek stracił w czasie Targowicy. Dziad mój, Piotr, był na zesłaniu w Woronażu przez lat siedem. Ojciec mój rok 1863 przeżywał, teraz na nas kolej*. „Mniej więcej każdy w swem życiu przetrwać musi okres kiedy to życie zdaje się być nie miłosiernem dla niego. Kiedy to cios za ciosem wali, grom za gromem ściga. I zda-

je się, że już wszystko opuszcza człowieka. Lecz jeśli ten człowiek ma silną wiarę, wie dobrze, że choć wszystko go opuści, jest ktoś, kto nad nim czuwa i właśnie w tych ciosach, w tych gromach niesie mu skarby nieocenione. Bóg przez te chwile cierpienia wypala w duszach naszych złoto czystej miłości i poświęcenia oczyszcza je z zarozumiałości i samolubstwa. I jeśli ten człowiek podda się ochotnie pod to dobrotliwe działanie pomału, nim się spostrzeże, niebo jego rozjaśnia się, gromy przestają się walić i widzi, że podniesiony na duchu, płynie spokojnie oceanem życia, sterowany niewidzialną ręką. Tak było z nami".

I taką niczem niezachwianą ufność w Sprawiedliwość Bożą mają ludzie którzy widzieli iście dantejskie sceny. Ilustracją niech będzie opis lokalu czerezwyczajki w Kijowie: „Pod szopą leżał jakby król tych męczenników cały zczerniały. Na skroniach, w pasie na rękach i nogach jego były zaciśnięte żelazne obręcze, które widocznie były nakładane nieszczęśliwej ofierze rozpalane do czerwoności. Liczne ślady poparzeń o tem świadczyły. Obok niego stał oparty o słup kadłub człowieka z odpiłowanemi nogami powyżej kolan. Odjęte członki rzucone były tuż. Dalej jakaś nieszczęsna ofiara, rozpłatana na dwoje przez całą długość ciała; wyrzucone wnętrzności poniewierały się opodal. Niedaleko młoda jakaś kobieta z odciętemi piersiami, przy niej niemowlę, z odciętą piersią matki na urągowisko wtłoczone w zsiniałe usteczka.

Tuż zwłoki jakiegoś męczennika, z całym ustępem winy na piersiach wypisanym ogniem. Dalej znowu głowa przeszyta kilku olbrzymiemi gwoździami. Tam cała bratnia mogiła rozwarta, z której przeraźliwy fetor wydobywa się. Mimo tego krewni starają się rozpoznać swych nieszczęśliwców. Lecz jak tu rozpoznać? Ten bez głowy, ten bez rąk i nóg! Ów ma głowę, lecz oczy wyłupione, uszy obcięte, język wyrwany. Tamten z całego ciała skórę ma zdartą! Inny jeszcze na węgiel spalony! Jednem słowem ogrom męczeństwa i niedoli. Piekło najbardziej wyrafinowanej zbrodni Tło obrazu stanowiła stajnia, w której dnia poprzedniego rozstrzelano tych, których dręczyć już nie zdążono, bo Denikin miasto zajmował. Skrzepłej posoki ludzkiej i mózgów rozbryzganych na cementowej posadce stajni było od pięciu do ośmiu centymetrów grubości".

Na zakończenie przytoczę po mistrzowsku skreślony obraz entuzjazmu, jaki ogarnął autorkę na widok wojska Polskiego wchodzącego do Kijowa: „Serce łomotało mi jak młot w piersiach. łzy rozrzewnienia cisnęły się do oczu, wzruszenie ściskało mię za gardło, z duszy wyrywał się potężny hymn wdzięczności w niebo: Boże Wielki, Boże Dobry, Boże Sprawiedliwy. Więc zaiste słowo ciałem się stało. Polska jak feniks z popiołów powstaje! Dzięki! Dzięki Ci Panie! Nietylko z martwych powstaje, lecz powstaje odrazu potężna i imponująca! Więc wejrzałeś, Panie, na krew, łzy, wysiłki i wzdychania pokoleń tylu. Więc przyjąłeś ofiarę całopalenia synów i cór udręczonego narodu! Więc tak! to polska, polska zaiste, polska armja"!

*Z. Pr*

**Schwaller. Kanisius, unser Glaubensretter. Kanisius-Werk.** Fribourg. Szwajcarja. 176 str.

Wyobrażamy sobie czasem, że nigdy nie było tak „ciężkich" czasów, jak obecne. Tymczasem powyższa biografja każe nam wierzyć, że najgorsze chwile mijają, są oczyszczeniem atmosfery społecznej i uczą gwałtem tego, czemu inne sposoby nie podołały. Ks. Kanizjusz, wsławiony swym katechizmem na czasie, żył przed 400 laty. Był pisarzem, mówcą dla obrony wiary i obyczajów. Był doradcą władnych w ważnych sprawach społeczeństwa.

Żeńskie Stowarzyszenie Drukarek Katolickich w Fryburgu Szwajcarskim — Kanisius-Werk — wzięło sobie św. Kanizjusza za Patrona i Kierownika swego Dzieła. Z środowiska tego wychodzi mnóstwo broszur na czasie dla utrzymania i pogłębienia wiary w kraju.

*K. Berk.*

**Revue d'Histoire des Missions. Paris V rue Soufflot 17. Editions Spes.** — Zeszyt IX. 1931.

W komitecie redakcyjnym tego najpoważniejszego pisma misyjnego francuskiego zasiada na pierwszem miejscu Jerzy Goyau, znany chyba wszystkim misjologom świata jako wybitny historyk misyj.

W zeszycie IX 1931 Revue napotykamy m. in. na bardzo dla nas cenny artykuł ks Rzewuskiego sekretarza ks. abp. Szeptyckiego we Lwowie, pt. La Comtesse Marie-Thérèse Ledochowska. Szkic psychologiczny. Bardzo ciekawy. Autor nie mówi o świętej (przyszłej Świętej!), lecz o poważnym człowieku, jakim była śp. M. T. Ledóchowska, Nie tai jej osobliwości, które ją różnią od drugich. Dokuczają jej za nie, jakoby one stanowiły istotę rzeczy. Sie sehen vor lauter Bäume den Wald nicht mehr. Nie widzą od drzew lasu!.. Czy nadeszła pora, byśmy dziś zrozumieli i oceniali należycie dostojne dla Kościoła i dla Ojczyzny powołanie, umysłowość, działanie p. Ledóchowskiej? Zdaje się, że jednostki, jak rodzina Ledóchowskich, Zamoyskich, jak ks. Wawrzyniak, Cecylja Plater itp. mają starczyć za miljony i reprezentują nas na forum świata tak samo poważnie i znakomicie, jak najwybitniejsi ludzie innych krajów.

M. T. Ledóchowska, zakładając Sodalicję Klawerjańską dla Afryki, zrobiła niesłychanie ważny krok naprzód w misjonizacji czarnego kontynentu i wogóle w akcji misyjnej Kościoła. Wskazała na nowe, a zarazem bardzo cenne sposoby nowoczesnej akcji misyjnej. Zwykle takie jednostki przerastają nas o tyle, że niepodobna ich doganiać. Biegną przed nami—a nie idą! Wreszcie jednak musi nadejść chwila, kiedy się równamy!.. Panu Bogu wiadomo samemu, dla ilu dusz w Polsce była śp. M. T. Ledóchowska gwiazdą przewodnią w pracy misyjnej, a może i w życiu osobistem, ascetycznem? Ile nam przyczyniła powołań, książek, społeczników misyjnych. Dziś, kto wie, możeby ta sama mądra pracowniczka wołała o zawodowców-misjonarzy świeckich dla misyj?.

*Kaźmira Berkanówna.*

**Dubois. Aux Jeunes. Ce que vous devez savoir des missions. Editions Rex. Paris. Louvain.** Wydawnictwo Association Catholique Jeunesse Française (ACJF) 14 rue d'Assas. Paris II.

Rozdziały książki: Macie obowiązki wobec misyj. Zyskujecie dużo, zajmując się misjami. Macie możność uczynienia dużo dla misyj.

Autor jest wybitnym znawcą misjologji, mieszka w Rzymie (Borgo S. Spirito 5) jako prezes katolickiej grupy Instytutu Studjów dla Afryki. (Londyn Craven Str. 22).

Żałuję, że w swym planie nowoczesnej akcji dla misyj ze strony naszej inteligencji dla sfery oświeconej pogan nie wspomina o pracach kobiet świeckich, zawodowców, dla misyj, szczególnie lekarek, których szeregi ciągle rosną. Chodzi bowiem o przygotowanie Zrzeszenia Zawodowców świeckich, którzyby przez kilka bodaj lat zechcieli popracować na stacjach misyjnych jako lekarze, nauczyciele, architekci itd. Autor kocha misje. Kocha Polskę i liczy na naszą pomoc. Informacyj udzieli: (Poznań, Matejki 53). *K. Berkanówna.*

**Gnitton S. J.** La vie ardente et féconde de Leon Harmel. Editions Spec. Paris, 17 rue Soufflot — 305 str. Gnitton S. J. Leon Harmel et iniative ouvriere—95 str. (druga książka jest wypisem z pierwszej).

Leon Harmel, wielki przemysłowiec i organizator robotników, w Val des Bois pod Reims, zmarł w pierwszych latach wojny światowej.

Był to typ człowieka pracy i człowieka uczciwego. Nie wymagał od drugich większej dobroci, pracowitości, skromności, niż sam posiadał.

Możnaby go „świętym w fabryce". Życiorysy ludzi świeckich z taką duszą gorejącą, jak Leon Harmel, napewno pobudzą do czynu. Także w naszej Akcji Katolickiej potrzeba takich życiorysów.

Francja ma ich całą serję: Olle-Laprune, Ozanam, Le Mim, Lio ry itd

A my?

Harmel widział w robotniku podobieństwo P. B oga. „Miał niesłychane poszanowanie dla godności człowieka" (str. 8 II). „Wyrabiał u robotników zmysł do inicjatyw i poczucie odpowiedzialności (str. 9). „Nie wyrzekał się autorytetu" (13) „Pracować dla dobra robotnika przez robotnika, nigdy nie bez niego. Jeśli opiekun chce rządzić sam sprawami robotników, to się pomyli i nie zyska uznania" (27). Wystarczy dogląd. Niechaj czasem robotnicy sami się pomylą. Szczególnie ufał Leon Harmel wskazówkom zainteresowanych. Mniej ulegał mrzonkom teoryj. Sam szedł do domów robotników. Z urządzeniem im życia wyprzedził Forda, tem bardziej, że cała jego robota wypływała z jego duszy religijnej. Nie uznawał pracy społecznej bez życia religijnego. Ni na odwrót.

„Nie schlebiał robotnikom, mówił im szczerze prawdę" (56), przekonywał, żył z nimi.

Nie wdawał się w dyskusje, lecz kazał próbować. „Realiser c'etait son affaire".

Zwiedzając zakłady Łódzkie Scheiblera, orzekł, że to świątynia bez P. Boga. Urządzenia techniczne, higjeniczne, ale bez duszy.

Sadzał robotników do swego stołu, obok swych licznych dzieci i kazał tymże być „grzecznemi" i usłużnemi dla robotników. Wielu członków rodziny Harmela było czynnych w jego fabryce.

Zapamiętał na cało życie powiedzenie pewnego robotnika: „zniesiemy głód, ale nie pogardę".

Raz w jego obecności panna Venillot, siostra Ludwika, wyraziła się lekceważąco o ręku robotnika, a na to Ludwik: „Czyżbyś zapomniała, że nasz Ojciec był bednarzem"? Takiego pokroju był też Harmel.

Robotnicy jego szli do stołu Pańskiego razem z nim. Dom jego stał między ich mieszkaniami.

Gdy liczni jego goście nie znajdowali miejsca w jego pokojach, to umieszczał ich u swych robotników, szczególnie księży i kleryków, którzy zjeżdżali się do Val des Bois na „rekolekcje społeczne".

To była najlepsza „akcja społeczna".

Gdy „rekolekcje" te wzbudziły zazdrość i musiały być przerwane, to zaczęto urządzać „Tygodnie społeczne"; Val był ich zaczątkiem.

Harmel był inicjatorem pielgrzymek francuskich robotników do Rzymu, do Ojca Św. oraz pośrednikiem powodem do napisania Encykliki Leona XIII Rerum Novarum.

Odwiedzali go dostojnicy duchowni i świeccy.

Życie i praca tego świeckiego apostola, i ludzi jego typu, ratowały i ratują dziś Francję.

A my?...

Czy zaczęto już u nas poważną *pracę świeckich* w naszej akcji społecznej.

„Za wiele profesorów, za mało ludzi doświadczonych i ludzi pracy", (str. 182 I) orzekał Harmel na różnych zebraniach „społecznych". Nie chciał ruchu reprezentacyjnego, lecz istotnej, rzetelnej, choćby drobiazgowej pracy.

*K. Berkanówna.*

**Kalendarz Ligi Katolickiej rok 1932, rocznik VII.** Kalendarz Ligi Katolickiej wydany nakładem Śląskiej Ligi Katolickiej odbija się treścią od reszty kalendarzy, i jest ze wszech miar polecenia godny Poza calendarium liturgicznie poprawnem znaleść można w nim wiele artykułów i notatek, ciekawych i pouczających w dobrym tego słowa znaczeniu. Dla interesujących się zagadnieniami z zakresu Akcji Katolickiej, kalendarz tegoroczny i poprzednie jego roczniki, zawiera wiele materjału mogącego służyć zarówno do rozpatrzenia, jak i do odczytów. Choćby tylko wymienić: „Apostolstwo dobrej prasy i dobrej książki", „Ciekawe rzeczy z duszpasterstwa Anglji i Holandji", „Kongregacje i Sodalicje jako przedszkole akcji katolickiej", „Jak to jest w Anglji", „Filmy religijne", „Apostołowie Akcji Katolickiej", „Akcja katolicka służących" i t. d. Kalendarz poświęcony jest J. E. ks. bisk. Adamskiemu, jako ojcu ruchu społecznego w Polsce i b. dyrektorowi Akcji Katolickiej na Polskę. Cena kalendarza wynosi zł. 1. Do nabycia w Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach, ul. M. Piłsudskiego 58.

**Ks. profesor dr. Kruszyński. Studja nad porównawczą historją religji.** Księgarnia św. Wojciecha.—430 str.

Dawno już chciałam wskazać interesowanym na książkę, nie nową zresztą, by nią zastąpić podobne dzieła zagraniczne.

Napewno porównawcza nauka religji stanie się przyszłą metodą misjonizacji Kościoła, w tem znaczeniu, że studjum to wykaże punkty dzielne i łączne religij, dla uwypuklenia jedynej prawdy: katolickiej. Innowiercy nie znają Katolicyzmu i dlatego doń się nie zbliżają. Katolicy znają go za mało, i dlatego tacy słabi.

Polska literatura religjoznawcza nie jest bogata w dzieła, jak powyższe. Ks. Kr. podaje sam dużo źródeł angielskich, niekatolickich, z uzupełnieniami ze strony katolickiej.

Z pisarzy Katolickich na tem polu znami są szczególnie Pinard de la Boullaye SJ. (najbogatsze źródło etnologic ne do tej pory) i Schmidl SVD;

U nas Ks. Kaźmierowicz, Stolin na Polesiu, i O. Kosibowicz TJ. Kraków idą po tej drodze.

Ks. Kr. omawia szczególnie punkty: Religja pierwotna człowieka. Świat starożytny wobec zagadnień religji, St. Testament a religje pogańskie itp.

*K. Berkanówna.*

**Catholic Truth Society.** London SW1—58-40 Eccleston Square.

Towarzystwo „Misyj Wewnętrznych” w Anglji—jakie powyżej wymieniamy, ma tak znakomite i wypróbowane metody pracy, że warto im się przyjrzeć dla koniecznego i u nas apostolstwa wśród innowierców.

1) Wydawnictwa tanie, broszurkowe, ulotki, książki, mają działy m.in.: I) Biografji, II) apologja; III) Nabożeństwa, IV) Historja, V) Kwestje społeczne.

2) Katalog przezroczy wymienia zbiory, dotyczące całkowitego życia Katolickiego.

3) Ulotka o szafkach kościelnych podaje fakt, iż w jednym roku rozchodzi się drogą kolportażu przeszło miljon broszur i pism.

Właśnie dowolność wyboru, którego nie kontrolują, działa tak pobudzająco na rozejście się lektury szafkowej.

Ulotka poucza szczegółowo o urządzaniu kolportażu. Nawiasem mówiąc, Ks. L. Ż. czyni to samo w swej nowej książce: Apostolstwo Książki, (Wilno, Księgarnia św. Wojciecha).

4) Kalendarz pracy z wykazem broszur odpowiednich na sprzedaż w każdym miesiącu. *K. Berkanówna.*

**Amvander. Einführung in die Religionsgeschichte Kösel-Pustet. München. Kaiser Ludwig Pl.** — 151 str.

Nowy, wartościowy przyczynek dla pracy naukowej naszych Misyjnych Kół Kleryckich i Akademickich, z wypisem zajmującym literatury religjoznawczej; takiż materjał w prostszej przystępniejszej formie przydałby się dla bibljotek parafjalnych, które wartoby otworzyć także dla naszych innowierców... *K. B.*

**Langdale. The Bollandists. Bruxeles. Boulevard St. Michel 24.**

Broszurka 16 stronna daje pogląd na historję i metodę pracy sławnych Jezuitów, historyków świętych, zwanych od swego założyciela, Bollandystami.

Rzadko dobrze napisana rzecz. Zdaje mi się, że nasi nieliczni „Bollandyści" polscy (hagjografowie) skorzystają napewno z tak jasno przedstawionych sposobów w pisarstwie o Świętych.

Przypuszczam, że istnieje współpraca Polski z Brukselą w tym kierunku, aby poza św. St. Kostką znano w świecie katolickim jeszcze i św. Kazimierzów i tych mnogich biskupów, księży, zakonników i świeckich świątobliwych naszej Ojczyzny? *K. B.*

**Bessonet-Favre. Jeanne d'Arc. Paris. Bloud.** Nie jest to rzecz nowa, lecz na nasze czasy niezwykle użyteczna. Autorka opisuje sprawy św. Joanny ze strony jej przeszkód w akcji najbardziej społecznej. Współcześni—ci, co poprzeć ją mieli,—skazali ją na stos, a następcy za te same czyny wynieśli ją na ołtarze. I bądź tu mądrym w swych poczynaniach publicznych! Ironizuję, ale społecznicy zrozumieją, o co chodzi...

Nie szkodzą sprawie przeciwności ze strony ludzi złych, których w gruncie rzeczy jest mało, lecz od tych, którzy każdą dobrą inicjatywę poprzeć winni i przyjąć do całokształtu pracy. Lecz nie przyjmują. Nie wiedzą, co z inicjatywami robić, więc je zwalczają i dlatego nie możemy ruszyć z miejsca, dla własnej winy!

Św. Joanna jako tercjarka św. Franciszka oparła swą działalność o III zakon, który dostarczał jej pieniędzy i ludzi do wojska. Zachwycająca jest prostota, silny charakter wobec władz. Czuje swą moc i jest jej wierną i—zwycięża, chociaż dopiero po walkach lat!

*K Berk.*

**Hennigs-Ball. Hugo Balls Weg zu Gott. — Kösel-Pustet. München. Kais. Ludwigs Pl. 6.** Żona, także literatka, opisuje historję swego męża, pisarza nawskroś nowoczesnego, zmarłego 1927 w swym 41 r. życia. Z rozdziałów książki: Młodość—Rebeljant—Wyznawca, poznajemy, iż Ball jest nawróceńcem, mimo swego wyznania katolickiego. Nazwijmy to „nawrócenie" powrotem od siebie i ludzi do P. Boga.

Opis tych dziejów jest piękny: skromny, poważny, rzeczowy. Ball był widocznie z natury dobrym człowiekiem. Widać to też z portretu. Katolicyzm jego (nominalny) wzmógł się, gdy zamieszkał w włoskiej Szwajcarji i we Włoszech. Umarł z powolnego głodu, wędrując z miejsca na miejsce, z północy na południe Europy. Wojna wyganiała go z Niemiec, których błędy szczerze wypowiadał. Sam opowiedział swe przejścia w książce: Die Flucht aus der Zeit. Ucieczka przed czasem. Najbardziej znana jest jego książka: Byzantinisches Christentum. Chrześcijaństwo bizantyjskie. Historja Balla powtarza się i u nas, tylko my nie wiemy o tych jednostkach,—wartościowszych, niż sądzimy!

*K. Berk.*

**Herwig. Sankt Sebastian vom Wedding. Eine Legende. — Kösel-Pustet. München Kaiser Ludwigs Platz 6.** — 97 str. Redakcja Pro Christo doprasza się stale materjałów społecznych. Nie wiem, czy mogłabym podać coś bardziej społecznego, niż powyższą „Le-

gendę“ Niema w niej coprawda „komitetów”, „statutów”, „organizacji” i podobnego balastu w dzisiejszej nędzy ludzkiej, lecz natychmiastowa, bezpośrednia pomoc, na podstawie której, z czasem, gdy pierwsze łzy otarte, wytworzy się jaknajżywotniejszy system pracy, dostosowany do najpilniejszej chwili. Pracę tę rozumie autor w ten sposób, że każe przechodniowi bodaj muchy odpędzać z wózika bezbronnego niemowlęcia na ulicy, obok którego przechodzi... Na treść książki pięknie wydanej składa się historja zakonnika, który porzuca klasztor dla bezpośredniej pracy wśród najsmutniejszych ludzi przedmieścia Berlina (Wedding), którego parafja ma za patrona św. Sebastjana. Dzieje kapłana - męczennika są wstrząsające. Ale równie straszliwe jest położenie nędzarzy, którymi dotąd nikt nie chciał zająć się, po ludzku i po ojcowsku. Zakonnik ginie śmiercią męczeńską, ale zostawia następców.

Całe nastawienie dzieła jest nawskroś społeczne. Katolicyzm w czynie. Daje dużo do myślenia. Czyta się książkę z rozkoszą. Ujęcie miłe, estetyczne, mimo grozy wypadków. Coś, co powinno rozejść się po dzisiejszym świecie. Przypuszczam, że ta „Legenda” jest — prawdą...

*K. Berkanówna.*

**Lhande. La Croix sur les Fortifs. Plon. Paris 8 rue Garancière**. — Krzyż na fortach. Najnowsza rzecz O. Lhande, autora serji książek: Chrystus na przedmieściach. Dalszy ciąg poprzednich dla ciągłego przypominania ważnych spraw społecznych. Podobną rzecz do „St. Sebastjana z Weddingu”; dlatego je zestawiam. Lhande jest raczej dziennikarzem, publicystą, a Herwig raczej literatem, a obaj mężowie opatrznościowi dla czasów obecnych. Jeden pisze o Berlinie, drugi o Paryżu. Obaj ukochali ludzi smutnych i nieszczęśliwych i chcą im pomóc.

*K. Berk.*

**„Roczniki Katolickie”** wydam w początkach lutego 1932 r. jako tom X. na r. 1932. Uwzględni się tu szereg narodów, także niektóre przedtem pominięte, a osobliwie Meksyk, Stany Zjednoczone, Holandję, Litwę, do tego zagadnienia masonerji, liturgiczne, unijne, misyjne, wychodźcze, oraz całokształt ruchu religijnego w Polsce, nie wyłączając sekciarstwa.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są u nas potrzebne ze względu na potrzebę łączności z zagranicą.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są u nas konieczne ze względu na pierwszorzędne stanowisko, jakie Polska zajmuje czy zająć powinna w pochodzie katolicyzmu; książki takiej żaden inny naród nie posiada.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są wprost niezbędne ze względu na budzący się katolicki ruch społeczny, zwierający się w Akcję katolicką.

„ROCZNIKI KATOLICKIE” są pewnym — bo opartym o literaturę opisanego narodu i o znajomość 20 języków — przewodnikiem w współczesnym ruchu katolickim nietylko w kraju, ale i zagranicą. Stąd znakomite usługi oddać mogą nietylko księżom przy kazaniach i wykładach, lecz i dziennikarzom, posłom, nauczycielstwu, rozmaitym urzędom, związkom oświatowym i społecznym, bibljotekom itd. itd. Przy końcu mają Skorowidz imion.

„ROCZNIKI KATOLICKIE" są i przyjemnym towarzyszem, gdyż „chętnie się otwiera ten gruby tom i chętnie się słucha bogatej w treść i epizody barwnej opowieści autora" (Dr. Leon Białkowski w „Kurj. Pozn." z 3. IV. 26). Pisze się je bowiem językiem powojennym, nowoczesnym.

Cena rocznika nie przekroczy 12.—zł. (wyjąwszy jakieś okoliczności nieprzewidziane). Objętość około 500 stron. Ciągle jeszcze można się zgłaszać na listę abonentów; im więcej ich będzie, tem tańsze będą „Roczniki" i tem pewniejsze ukazywanie się w przyszłych latach. Abonenci płacą $^2/_3$, klerycy i studenci $^1/_2$ ceny, jednak tylko do 1 kwietnia 1932 r. Abonentów którzy zmienili swoje miejsce pobytu, uprasza się o podanie adresu, by zapobiec kosztom i nieporozumieniom. Pieniędzy nie potrzeba wpłacać, ściągnie się je przy odesłaniu książki przez zaliczkę.

Adres redakcji i administracji „Roczników Katolickich" X. NIKODEM CIESZYŃSKI — POZNAŃ, przy kościółku P. Jezusa.

W. Szan. — PP. Autorów i Nakładców uprasza się o łaskawe przysyłanie dzieł z zakresu zagadnień religijnych, umieści się o nich wzmiankę czy recenzję w „Rocznikach Katolickich".

Poleca się jeszcze „Roczniki Katolickie" z lat ubiegłych po cenach zniżonych, niektórych zapas się już kurczy.

**Żywy Różaniec w nowej szacie.** Ukazała się bardzo pożyteczna, praktyczna i ciekawa książeczka p. t. „Żywy różaniec" ks. Fr. Nowakowskiego.

W książeczce tej znajdują się na wstępie krótkie uwagi o Różańcu wogóle, o Stow. Żyw. Róż., regulamin Ż. R. i wreszcie wszystkie 15 tajemnic Różańca św. z bardzo ładnemi obrazkami. W końcu książeczki znajdują się piękne pieśni do Matki Boskiej. Cena książeczki 30 gr. Stronic 64.

Książeczka ta jest na czasie, bardzo praktyczna i będzie wielkiem ułatwieniem dla wszystkich w organizacji Żyw. Róż. a zwłaszcza dla Zelatorów.

Odtąd przy miesięcznej zmianie Tajemnic — nie będzie potrzeba używać oddzielnych kartek, gdyż każdy będzie miał w tej swojej własnej książeczce wszystkie 15 Tajemnic Różańcowych, z których co miesiąc inną będzie zmieniał.

Zmianę Tajemnic można będzie odbywać najpraktyczniej w porządku kolejnym, to jest, kto nprz. miał w tym miesiącu 1-szą, to w następnym—2-gą, dalej 3-cią i t. d. kto miał ostatnią — 15-tą, ten w następnym miesiącu 1-szą.

Można także, mając tę samą książeczkę, odbywać zmianę Tajemnic i przez losowanie na zrobionych umyślnie w tym celu 15 kartkach ponumerowanych. Na kogo w losowaniu wypadnie jaki numer, taką Tajemnicę będzie w ciągu miesiąca rozważał z tejże samej książeczki.

W ten sposób uniknie się tylu trudności dla Zelatorów i nieprzyjemności dla wszystkich, jakie były dotychczas, przy każdorazowej miesięcznej zmianie Tajemnic, kiedy to trzeba było czekać i trudzić się aż wszyscy przyniosą swoje „tajemniczki" do zmiany, a przytem najczęściej—

zniszczone, wybrudzone, a nawet z rąk człowieka chorego na jaką zaraźliwą chorobę.

Oprócz togo, w tej książeczce, każdy ma przed oczami cały Różaniec, i odmawiając swoją Tajemnicę w ciągu miesiąca, widzi jej łączność z poprzednią i następującą, a w ten sposób—choćby mimowoli — uczy się i coraz dokładniej i głębiej poznaje piękno całego Różańca św."

. . . . . . . . . . . .

Słowem—podkreślić jeszcze raz niezawiele — książeczka ta pożyteczna, praktyczna i bardzo aktualna,—gdyż organizacja Żywego Różańca — coraz więcej się szerzy, coraz liczniejsze obejmuje rzesze.

*Ks. Leon Machczyński*
proboszcz Skępowski.

Do nabycia u Autora: Ks. Fr. Nowakowski, Karnkowo poczta Lipno-Warszawskie.

* * *

*Szanownym naszym Czytelnikom i Prenumeratorom łączymy serdeczne życzenia z okazji Nowego 1932 Roku.*

*REDAKCJA.*